

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 16 sierpnia 1959 r.

WYSPA SIEDMIU
SKARBÓW

LEON JANKOWSKI
i
KAROL KOWALSKI



Tę polską „BB” znaleźliśmy na plaży w Sobieszewie. Ma 18 lat i na imię Maryna

31 stycznia wieczorem kora Wisły zatrzymała się na starym ujściu i w krótkim czasie zatamowała rzekę, aż do małej wsi rybackiej Górki Wschodnie. Ochronne wały znalazły się w niebezpieczeństwie. 1 lutego o godz. 2 w nocy służby wodne w pobliżu miejscowości Bąsak przystąpiły pod naporem masy wodnej. W taki oto sposób powstała w roku 1840 nowa śródlądowa mierzewa u brzegów Morza Bałtyckiego.

Wyspa, której podstawą jest brzeg Zatoki Gdańskiej i boki: z lewej strony marmrowe ujście Wisły koło Sobieszewa, z prawej obecne ujście Wisły w miejscowości Świbno. Dwa razy po siedem kilometrów i osiem kilometrów plaży morskiej. Trójkąt ziemi leżącej w delcie Wisły poniżej poziomu morza, nieważny wtedy, w 105 lat potem stał się miejscem jednego z najciekawszych wydarzeń II wojny światowej.

Lipiec 1959, piękny czas tegorocznego lata. Dwa reporterzy „Odgłosów” przygotowani do pracy w niezbadanym terenie rozbiili namioty w bezludnym lesie nad brzegami morskiej zatoki. Las zimną ścianą oddziela ich od najbliższych osiedli. Jeszcze przedtem

otrzymali ostrzeżenie — morderca natrafił na miny! Wojsko co prawda przez wiecie miesiąc penetrowało teren, ale co roku ktoś znajduje małą „pamiątkę” po minionej wojnie. W każdym zakątku, pod każdym krzakiem może być ukryta śmierć.

Wyspa konkurowała z Wrocławiem o prawo do ostatniego strzału. Wojna zakończyła się 8 maja 1945 roku. Nie wszędzie. Tuż, jeszcze 15 dnia majowego toczyły się zacięte walki ostatnich pretorianów Hitlera.

Wojska piechoty morskiej, dywizji pancernych, artylerii nadbrzeżnej — otoczone od strony lądu przez Armię Czerwoną, konaty powoli śmiercią straceńców.

Ale jeszcze przedtem, zanim nastąpił ten ostatni akord wojny — na kilka miesięcy wcześniej, wyspa stała się wielkim schronem przeciwniczym dla elity bogatych mieszczan Gdańska, Królewca i Berlina.

Dokończenie

na str.

3



Florence

na str. 9

BARDOTKI
LORENKI
i OLIVIERY

na str. 2

Studium
mordercy
(cz. II)

na str. 8



Niepublikowane
dokumenty
polskiej dyplomacji

na str. 2

IRENEUSZ KRZYSZTOF SCHMIDT

REPORTAŻ Z KRAINY CZARNYCH ZNAKÓW

„...później on przyszedł do niej w nocy. Ubrał czarny płaszcz, żeby go nikt nie widział, a ona? Ona leżała na takim łóżku pod takim baldachimem, złotym i wie pani wyciągnął długi nóż i obciął jej włosy, a miała takie złote. Schował te włosy do kieszeni... Panie, ja myślałam, że on ją zabije. Aż mi ulżyło...”

Zaczerwieniona z przejęcia i od słońca, bo dzień był upalny, stara kobiecina w kraciastej chustce na plecach, opowiada mi tę arcyciekawą historię w kolejce po mięso. Kobiecina czytała ją jeszcze przed wojną, a

książka była już wtedy bez strony tytułowej...

W chwilę potem zorientowałem się jednak, że zamiast zbierać informacje w kolejce po mięso, czy cytryny, należałoby raczej iść do księgarni.

Rozmawiam z zastępcą kierownika księgarni przy ul. Piotrkowskiej 86, starszym szpakowatym panem W. T.

„Ja już długo pracuję w swoim zawodzie. Nie chciałbym pracować gdzie indziej. W Pabianicach (tam mieszkam) mógłbym przecież znaleźć coś innego ale nie chcę... Różni ludzie u mnie

kupują, są stali klienci, oni kupują tylko nowości — przeważnie inteligencja: lekarze, adwokaci, literaci, jeden sędzia... Dla tych przeważnie się odkłada.

Gdy nie ma tłoku, klient może sobie sam wybrać. Często jakaś książka zginie... Ale niech pan o tym nie pisze, to nie jest przyjemne. Ile książek się sprzedaje? To zależy od okoliczności: teraz kupuje przeważnie młodzież.

Zaopatrujemy też Bibliotekę Uniwersytecką i kilka bibliotek przyzakładowych... Nie muszą czytać wszystkich książek, wystarczają katalogi i krótkie streszczenia, które dostajemy z arkuszem zamówień... Najładniej wydaje PIW. Takie książki jak ta — widzi pan to „Życie Marianny” Marivaux? — chciałoby się zawsze sprzedawać... bestsellerów jest dużo dzięki dobrej reklamie: prasa, radio. Klienci też są już wyrobieni. Zadanych tricków handlowych nie uznaję, to byłoby nieuczciwie wypychać komuś książkę, na której może się zawiesić... Robotnicy raczej nie kupują, a rewanenty są... dwa razy do roku...”

Dziękuję panu W. T., bo oto nagle widzę jak półkę z nowościami penetruje barchyńska postać w okularach. To Andrzej Brycht — poeta i dzielnicy publicysta. Skrzętnie notuję:

„Nie kupuje się, bo nie ma pieniędzy. Książki kosztują... Tę chciałbym kupić: Papiniego „Dante żywy” — 35 zł, w bibliofilijskim wydaniu PAX-u... Ta, powinna być bestsellerem, długo na nią czekałem: „Modlitwa za moich braci” Mladena Olifca... Wierszy już nie piszę, „Iskry” nieładnie wydają. Czekam teraz na „Almanach”. Mam tam opowiadać. Wydawnictwo Śląskie solidne, łódzkie też, mają

ładny papier — zwłaszcza wydania nieseryjne. Za dwa tygodnie pryskam do Warszawy. Cześć!”

„Kryminały czytają wszyscy — mówi dalej pan W. T. — wierszy nie czyta nikt. Dziennie idą najwyższe trzy tomiki. Przeważnie kupują je sami poeci. Ostatnio Marian Piechal kupił dwa egzemplarze swojego „Diabła za skórą”. Młodzi poeci kupują u mnie bardzo często: przeciętne muszą być zorientowani w konkurencji... Fraszkę idą jak woda: Sztandynger, Czarny. Z łódzkich prozaików najbardziej chyba kupują Rymkiewicza. Przedwczoraj nawet on sam kupił dwa egzemplarze „Carewicz na ulicach Krakowa”. Narzekal na niezbyt dobry papier, a przy okazji powiedział, że pracuje nad nową powieścią — historyczną o Władysławie IV... Ludzie najchętniej kupują jednak Rodziewiczówna, Żeromskiego, Sienkiewicza, Prusa, a nawet Dąbrowską... Ostatnim bestsellerem była chyba „Krucjata w Europie” Eisenhowera. Dostaliśmy pięć egzemplarzy. Jeder wziął kierownik, drugi ja, a pozostałe trzy powędrowały do bibliotek. Ujemny wpływ na sprzedaż mają ceny książek. My też mamy plan, który trzeba wykonać. Każdy chce najwięcej sprzedać. Gdy z planem jest kruczo, urządzamy siuska. To dobra forma sprzedaży. Przyciąga ludzi przeważnie ładną o-

Dokończenie

na str.

7



Papierowa dyplomacja⁽¹⁾

Basada
POLITEJ POLSKIEJ
W/F/7

1/10 870

RAPORT POLITYCZNY Nr. IV/1.

Paryż, dnia 4 lutego 1939 r.

ŚCIŚLE-TAJNE

DO
PANA MINISTRA
SPRAW ZAGRANICZNYCH
W WARSZAWIE

Dyskusja nad sprawami polityki zagranicznej
cji zakończona wczoraj w tutejszym parlamencie w
zaufania dla rządu...

Gdy Wielki Łowczy w Polsce gościł,
I wielkopańskie pił szampany,
Gdy zapijaty się z radości
Ozońskie blazny i balwany,
Ze podejmują Ribbentropa,
(A wyrok był już podpisany,
Na śmierć skazana Europa),
Gdy wielki grzmiał w obozie jubel,
Ze Józek z Hesseym był na wódce,
Ze Ciano w tany porwał Dżubę,
Ze Bolek z Edda tnie holubce —
O, danse macabre! Gdy wbijali
Tym tańcem gwoździe w naszą trumnę.

Julian Tuwim — „Kwiaty polskie”.

Tajemniczy James z ulicy Wierzbowej, pulkownik artylerii (choć nigdy baterią nie dowodził), mąż p. Jadwigi (w kołach towarzyskich p. Dziuby) primo-voto gen. Burkhardt-Bukackiej, córki znanego prawnika lubelskiego Salokowskiego, obejmuje oficjalnie ster polskiej polityki zagranicznej 2 listopada 1932 roku.

Następca ministra Augusta Zaleskiego ma już za sobą karierę dyplomaty. Krótka wprawdzie, lecz w zamian za to głośna; jako pierwszy i oficjalny polski attaché wojskowy w Paryżu w 1922 roku zostaje wkrótce potem odwołany. Dyplomatycznie

brzmi to persona non grata a powód — p. mjr. Beck jest informatorem wywiadu niemieckiego.

Faworyt Piłsudskiego, bierze czynny udział w zamachu majowym, w „zniknięciu” generała Zagórskiego, a przede wszystkim, po śmierci protektora, realizuje mocarstwowy testament polityczny ukochanego marszałka.

Polityka Becka opiera się na orientacji zachodniej, a ściślej biorąc na dojściu do porozumienia z Niemcami, tym bardziej że — nie — oddajmy głos ministrowi Beckowi:

„Przed udaniem się jesienią 1933 roku na sesję Ligi

Narodów w Genewie przedstawiłem marszałkowi pierwsze wyniki moich badań. Po ich przeanalizowaniu ujęliśmy w ten sposób zasadnicze elementy zagadnienia niemieckiego:

a) Ruch narodowo-socjalistyczny jest niewątpliwie ruchem o charakterze rewolucyjnym. Zasadniczą sprawą przeto jest wiedzieć, czy wszyscy jego uczestnicy uważają się za rewolucjonistów. Studia nad oświadczeniami i metodami Hitlera, jak również nasze bezpośrednie kontakty z przedstawicielami nowego Senatu gdańskiego dają na to twierdzącą odpowiedź.

b) Reformatorzy wszystkich czasów mieli ambicję rozpoczynania od nowa historii swego narodu, od budowania jej od podstaw, od „pierwszego roku Rzymu”; istnieje więc możliwość ponownego rozpatrzenia z nimi wszystkich dawnych spraw.

c) Każdy reformator, któ-

Dalszy ciąg
na str.

6

Bardotki

Lorenki

i Olivieri

Jadąc nad morze — powiada Horacy — klimat zmieniamy, nie siebie. Nie przeczę, iż tak było w starożytności, albo powiedzmy dokładniej — w epoce przedwczasowej. A dziś akurat przeciwnie, wczasy zmieniają człowieka, a nie klimat, chyba że mowa o klimacie obyczajowym.

Chciałbym polemizować z Horacym w sposób konkretny, na przykładach. Zaczniemy od stwierdzenia, że mój sąsiad z tegorocznych wczasów nadmorskich, średnio sympatyczny pan po trzydziestce, w życiu pozawczasowym niczym szczególnym się nie wyróżnia. Ot, taki sobie przeciętny pantoflarz, który ubóstwia swoją żonę trochę z przywiązania, trochę z przyzwyczajenia i trochę ze strachu. Każdego pierwszego dnia miesiąca przynosi w zębach pensję, nianczy przykładnie dzieci, wypełnia regularnie ale bez specjalnego entuzjazmu obowiązki małżeńskie, chwali teściową jak pan Bóg przykazał i jeździ do krewnych co niedziela. W jego pozawczasowym życiu kilka kieliszków wódki bywa poważnym przestępstwem, a kara za spóźnienie na obiad lub kolację dopustem, który z pokorą przyjmuje z rąk żony, owego aniola i dozorey, najdroższej róży i pokrzy-

wy, gałązki kwitnącej wiśni i białej.

Ale jesteśmy oto w dusznym pociągu, który zmierza właśnie nad morze. Pokorny baranek, wzór wszelkich cnót mężowskich i ojcowskich, przemienia się w zgłodniałego lwa, w prawdziwego króla zwierząt kobietożernych. Amerykańska koszula, bajecznie kolorowa, wypuszczona na wierzch tak by zastaniała brzuszek i odslaniała mięso, wązkie ciemne spodnie rozcięte przy kostkach, szpiczaste buty, a nade wszystko swoboda człowieka wyzwolonego, ten wzrok demoniczny, ten uśmiech, pewny siebie, ogarniający cały świat zwycięski, i oto w Ustroniu Morskim ładuje jeszcze jeden Ralf Valone z wadliwą oblepioną egzotycznymi nalepkami, wyciętymi z niezawodnego przewodnika snobów — „Przekroju”.

Mój sąsiad z tegorocznych wczasów nadmorskich narzeka początkowo na dużą konkurencję. Samych Ralfów Valonów znalazł biedak coś kilkunastu, a Jean Marais, a Ives Montand, a Laurence Olivier? Każdy z tych wielkich aktorów przyjechał w te strony odbity w kilkunastu egzemplarzach, wystudowany w kinie, przed lustrem, w samotności i na deptaku w Kutnie, Garwolinie, Szamotułach, zresztą w Warszawie i Łodzi, podretuszowany u miejscowego fryzjera.

A młodzież? A te niepełne jeszcze dwudziestolatki w

czarnych spodniach i czarnych butach, w czarnych koszulach i skarpetkach, z czarnymi brodami? Trzy dni nie będzie taki jadł, żeby zaoszczędzić na jeden „ubaw”, na dwa kieliszki chleba, zagryzane świeżym powietrzem. W życiu domowym to często niewypierzeni matuzylscy, w skórę jeszcze na golasa dostają, to młodsi sklepowi, pomocnicy fryzjerów, pachnący perfumą z MHD, podręczni z orbisowskich restauracji, pikolaki na państwowym etacie. Wszyscy nieco może prymitywni, jeśli chodzi o środki zdobywania kobiet, ale ogromnie wytrwali. Niebezpieczna konkurencja.

Szczęściem, wczasy to wielkie zerowisko. Zarówno panowie starsi, jak i panowie młodszy znaleźli tu szeroki teren działalności. Konkurencja zmalała niemal do zera, przeciwnie, nawiązywanie wczasy — współpraca pomiędzy pokoleniami. Bywało, młodzi wypatrywali zwierzynę, starsi organizowali własnym nakładem urzecz polowania.

Tak, tak... jest w czym wybierać na wczasach. Ta długonoga, smukła dziewczyna to nie kiepska uczenica jednej z łódzkich szkół podstawowych, wcale nie została na drugi rok w dwujęzycznej klasie, co za niedzne plotki, zrodzone przez zazdrość. To Zofia Loren. A jej przynajmniej, jasna, zgrabniutka blondyneczka? I ona nie oblała w tej samej klasie. To Brygidka Bardot. Nie jedyna zresztą.

Sekretareczki z rozległego aparatu GS, PZGS, PSS, pulchne zaopatrzeniówki, kontystki i sily biurowe, pijące cieką herbatkę na drugie śniadanie, referentki i maszynistki, pracujące „dla planu” i swojego najbliższego szefa, znużone senną atmosferą biura i doświadczeniami kolegów, którzy są tylko buchalterami, referentami, tylko Kowalskimi i Kupscjami, panienci z dobrych domów zaopatrzone w pieniądze przez rodziców i spuszczone ze smyczy... co dużo mówić, same Mariny Vlady, Silwany Pampanini, Kłmy Nowaki, Giny Lolobrygidy, a bardziej patriotyczne — Basie Kwiatkowskie. Im to zaudzycamy europeizację kraju, to właśnie

one wespół z Valonami, Fanfanami, Maraisami, Olivierami tworzą z malej, prowincjonalnej dziury nadmorskiej polskie Lido, Ostendę, Niceę, czy Miami na Florydzie skrzyżowane z Hollywood.

Na krajowym Lido, w polskiej Ostendzie, jak już mialem przyjemność zauważyć — każdy jest kimś innym, wypożyczonym z „Paris Match”, „Life’u”, z francuskiego lub amerykańskiego filmu. W domu śpiewa „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, a tu konieczna „Pożegnania”.

Na krajowym Lido, w tutejszej Ostendzie każdy jest kimś innym również jako typ psychiczny. Fela, maszynistka z Rypina, ma dość zgiełku świata, szuka samotności, najlepiej samotności we dwoje. Pan Jasio, główny buchalter z Zaklikowa, marzy o kobiecie, która by go zrozumiała, choćby tylko przez ustawowy miesiąc wlopowy, Julietta, która zdziwra buty na deptaku i czyta wyłącznie kryminały, chce żyć tylko wzniosłymi idealami, tak ją gdzieś gna, pędzi w szeroki świat, najlepiej w dołku na plaży o północy. Noc sprzyja łatwości. Julietta wierzy, że pan Jasio, biedny i subtelny Jasio, ma okrutną żonę, a pani naczelnikowa bez trudu przekonuje dyrektora wojewódzkiej centrali wazrywniczko-ogrodniczej, że mężczyźni leżą w jej stóp szeregami, tuzinami, stosami, a ona tylko jego, jedynego na błogosławionych wczasach państwowych.

Wszyscy sobie na tych wczasach pomagają w życiowych biedach, wszyscy uciekają szczęśliwie od niedobrych żon, złych mężów, „miejscowych stosuneków” zawistnej rodziny, najbardziej kłótni odnajdują wspólne zainteresowania, znużeni odzwyczajają się i uśmiechają zdrowo do życia, przez cały miesiąc trwa skuteczny remont utraconych duszynek.

Wzwołone żucie! Nie ma w nim krepującego wole ludzka poczucia codziennych związków, nie ma żadnej hierarchii. Dom, żona, dzieci, konwencja moralno-obyczajowa, troski matki, białe, poniedziałowe wczasy prze- staje istnieć. Pan mecenas,

prawdziwy arystokrata ludowy z własną „Octavią” pije z młodymi dziewczętami, na które grzmi w sądzie, wielki dyrektor pije z matym urzędnikiem, funkcjonariusz niższej kategorii bez prawa do służbowego samochodu może bez trudu pocieszyć pryncypalową, niedostępną w życiu pozawczasowym. Równość pod piekącym stołcem, pod romantycznym księżycem w nocie parne i szalone.

Mój sąsiad z tegorocznych wczasów zdumiewał swoją żywotnością. W Łodzi narzekał, że już nie te lata, w kolanku coś strzyka, żółdaczek nie zawuze w porządku, a tu? Rano, ledwośmy się jako tako okopali na plaży, co ja mówię... ja rylem grajdołek, a on tokował niezmodowanym jak głuszec i gadał bez przerwy.

— Te trzy czarne chłopczyki, kolego redaktorze, już poderwały, pamiętacie?... te sikorki z podstawowej szkoły, idziemy po południu w Polskę, w plener kolego redaktorze, do lasu. Może się jakie grzybki narodzi, może coś innego. Patrz pan!

Patrzę, ale nic nie widzę, prócz setek podsmażanych ciał.

— Kolega widzi to cudo w zielonym kostiumie? Pierśniętek prawie dobie nie zastania!

— Widzę, i co z tego?

— Ona siądzie na falochronie.

Istotnie, dziewczyna siada na falochronie.

— A teraz kiwnie do nas dłoń.

Dziewczyna kiwa.

— A teraz pójdzie w stronę tamtych wydm i chaszczów.

Dziewczyna idzie.

— A teraz cześć pracy, kolego redaktorze! Wykop pan większy dołek, przyjdziemy przed północą w trzy pary miesięczek ooladać. Odpinam za zieleniatka!

Odpinam. Jego dzień, co tam dzień, jego doba wymierzona jest po brzozi rozlicznymi czynnościami. Rano zieleniatka w tych widmach i chaszczach, po obiedzie brydż, spacer z Zofią Loren i Brygidką Bardot (obie z Wolomina) kolacja z szefową, która mu po przynajmniej odstęp przysięgi szefa, później dansing z dziewczętami w czarnych swe-



WYSPA SIEDMIU SKARBOW

(Dokończenie ze str. 1)



Nasza „buda” w nadmorskim lesie...

Las pocięty w symetrycznym układzie głębokimi dolami, nad którymi rozciągnięto plandeki. Typowe ziemianki ozdobione cennymi dywanami, zastawione własnym majątkiem i grabowanym tupem. Życie z niebezpiecznych miast wystawionych na ciągłe ataki nalożyło przetrwać tutaj na wyspę w oczekiwaniu na zapowiedziany „cud strategiczny Hitlera”.

Gauleiter Gdańska — Foerster w swoim modrzewiowym dworku postawionym na środku wyspy, otoczony sztabem oficerów nadal sprawował swe funkcje. Gdańskie uliczki miały tutaj swoje odpowiedniki. Drewniane tabliczki przywieszane do sosnowych drzew pozwalały na doskonałą orientację nawet dla obcego przybysza. Słodką wodą przywożoną była z ujścia Wisły razem z prowiantem i pocztą. Z obawy przed zarazą doły z fekaliami dezynfekowano i zasypywano z niemiecką dokładnością. Tysiące ludzi, cywilów i wojskowych żyło

jakby na uboczu działań wojennych. Na plaży morskiej szybko budowano pomosty dla statków i okrętów wojennych. To był ostatni kontakt możliwe bezpieczny ze światem, ostatnia droga ucieczki z obłożonej wyspy.

Rankiem w kwietniowy dzień 1945 roku morskie barki i statki zaczęły wywozić mieszkańców wiślanej trójki. Nie było woźni, tylko ze sobą zabierali — tylko życie i kilkadziesiąt kilogramów osobistego bagażu. Cały olbrzymi majątek wyspiarzy poszedł do ziemi, każdy zakopywał co było cenne, co mogło być w przyszłości wydobyte, wtedy, gdy swastyka zwycięży i pozwoli powrócić tutaj po łupy.

Jednego dnia w ciemnościach nocy przez prom na marmurowym ujściu Wisły koło Sobieszewa przedostała się tajemnicza kolumna samochodów pancernych. Przedtem oczyszczono dla bezpieczeństwa całą drogę od Gdańska do wyspy. Przy każdym kierowcy siedział wyższy oficer SS. Ciemna

zielone plandeki kryły tajemniczy i do dzisiaj nie wyjaśniony ładunek.

Cel podróży kolumny: środek wyspy w pobliżu modrzewiowego dworku gauleitera. I to wszystko. Nikt więcej nie zna ani jednego szczegółu. Tyle wiedzieli nieliczni jeńcy, którzy mieli szczęście uciec z życiem z tego piekła i równie nieliczni dziś żyjący tubylcy, wtedy Niemcy polskiego pochodzenia.

Gdy następnego dnia rano samochody wracały do bazy przy kierownicach siedzieli już inni ludzie — tamci zostali prawdopodobnie w licznych grobach, którymi usiana jest wyspa. Taką tajemnicę można było powierzyć tylko najbardziej zaufanym ludziom z gwardii SS. Chodziło przecież o skarb gauleitera Foerstera, milionowe zasoby m. Gdańska, zdobyte złoto, cenne kruszce i inne walory z okresu wojny. Czy i to spoczęło razem z majątkiem uciekinierów w piaszczystej ziemi, nadbrzeżnego lasu?!

NOCNE WIZYTY I WROCLAWSKI BILET

W ciasnym namiocie jest wilgotno jakby stał w dżungli a nie nad brzegiem piaszczystego morza. Nofesy garbią się w okładkach, a koce mają dwukrotny ciężar. Przy świetle świecy rubiny notatki z codziennej marszrut. Z rozmów z ludźmi i ze spotkań ze starymi faktami, z wizji lokalnych.

Materiał skąpy, nie wyjął wielu spraw. Autochtoni, którzy mieszkali tutaj w okresie wojny niewiele chcą powiedzieć. Ogólniki i szczegóły, które już znamy, fakty nie zmieniające obrazu.

Wczoraj rankiem gdy penetrowaliśmy teren odległy od dworku z modrzewia zauważyliśmy dwóch mężczyzn kręcących się niecierpliwie wokół jednego miejsca. Ukradkiem zerkali w naszą stronę, przystawali niby dla odpoczynku, bawiąc się długimi prętami.

Zeszliśmy im z oczu. Leżąc na piaszczystej wydmy podglądaliśmy przez morską trawę ich teren. I dopiero następnego dnia, kiedy jeszcze raz przeglądaliśmy to miejsce — natrafiłszy na dużą jamę świeżo rozkopaną. Obok leżały kawałki cegiel wydobyte z ziemi jakby ktoś w jej wnętrzu rozmurował mały schron. Innych śladów nie było. Ziemia w pośpiechu zasypała na odkopany dół była już sucha, tylko obok leżały dwa bilety kolejowe Wrocław — Gdańsk i kilka niedopatków „Giewontów”.

Jak nam opowiadano, w przeszłości takich wizyt było tutaj wiele. Nocami przewrotnie, po uprzednim przygotowaniu terenu, błądziły po wyspie tajemnicze postacie dźgając ziemię długimi, stalowymi prętami. Nocą na

zgaszonych światłach cicho gadał słońce cęzarówki. Równie w tajemniczy sposób załadowano ładunek i prom przerzucił na tamtą stronę widel rzeki Wisły poczukiwaczy skarbu.

Z czym? Nikt nie wie. W pustym lesie, gdzie z obawy przed możliwymi jeszcze minami wlele kręci się ludzi, można robić co się chce.

Las odstrasza turystów, jest knieją dla śmiatków, poszukiwaczy legendarnych skarbów. Jeszcze dzisiaj chociaż już minęło 15 lat — nikt naprawdę nie wie, co kryje w sobie tajemnicza ziemia małego kawałka morską wybrzeża.

W ubiegłych latach kilka razy przekraczano tu granicę. Ludzie mówią o jakiejś łodzi, która podплыła do plaży i pod osłoną nocy na pontonach przedostali się do wyspy nieznanymi osobnikami.

Legenda? Może. Takich legend tu wiele.

W SCHRONIE FOERSTERA

Modrzewiowy dworek ma kształt dużej chaty w kolorze czekolady, w której każda salka wykładana jest boazerią z różnych gatunków drzewa. Jest sala brzoźowa, sosnowa, gdzie każda deska ma misternie dobraną mozaikę seków, klasyczne kominki z gdańskiej majoliki, ciężkie belkowe sufity. Dworek łączy się z oddzielnym pawilonem też z modrzewia — łączy go krótki szklany krużganek — gdzie prawdopodobnie odbywały się uczy

tyki. Dalej nikt nie penetrował kanału schronu. Gdzieś przecież musiało być rozgałęzienie do schronowych komnat dla swity i najbliższej rodziny gauleitera. Nie możemy jednak trafić na ślad, nie mamy pewności czy wszystko tutaj dokładnie rozminowane. Amatorska wyprawa może nieprzyjemnie się skończyć.

Zimny nietoperz musnął nam twarz, uderzył o sufit i znikł w zapadlinie. Brz... nie więc nie ma tu do oglądania. Wylazimy na słoneczny las, zryty rozpłdlinami dawnych ziemianek i gniazd po karabinach maszynowych. Jeszcze gdzieś gdzieś leżą zarzewia chelmy, resztki pancerafaustów, jakieś kółka, to czego nie chce już centrala skupu złomu.

A kiedyś były tu rzeczy... ehhh. Tysiące samochodów różnych marek, całe magazyny sprzętu.

Wszystko to otoczone polami minowymi wydawało się niedostępne dla szabrowników. Znalazł się jednak cichy bohater poszukiwawczy przygody. Warszawski cwaniak wyciągnął kilka pięknych osobowych wozów z pola minowego. Szedł jak bocian poprzez siatkę drutów minowych, ciągnął za sobą ciekawą żyłkę rybacką, aż dotarł do śrółka bogactw. Na żyłce podano mu stalową linę. Pierwszy wóz stojący najbliższej pół minowych zaczął się wytaczać na minowy szlak. Ciągnął go traktor ustawiony na pobliskiej szosie. Wóz leci w powietrze,

metrów od dworku modrzewiowego.

O nic nie podejrzewaliśmy wygodnego campingowca. Za bardzo zajęci byliśmy zbieraniem materiałów, łażeniem po trójkacie wyspy, szukaniem tematów do zdjęć.

Dopiero, gdy rankiem któregoś dnia zobaczyliśmy puste miejsce w lesie, gdzie jeszcze wczoraj stał camping, i zbadaliśmy bliżej teren oczom naszym ukazała się, w bok od campingowego miejsca, plama świeżej ziemi i wyrwanych mchów. Wszystko było dokładnie zatarte, tylko czysty piasek i starte mchy znaczyły miejsce gdzie ktoś kopał. Kto? Nowa zagadka jakich wiele kryje ta wyspa. Nieraz już kopali tutaj ludzie, którzy z kartkami planów przystanych z Zachodu szukali wytyczonych miejsc?

Lecz gdy na posterunku MO w Sobieszewie naprowadziliśmy rozmowę na ten temat — otrzymaliśmy odpowiedź, iż w tych sprawach nie było żadnych meldunków. Każdemu wolno bawić się w kopanie, lecz nikt nie melduje co znalazł? A był przecież taki okres, że zjeżdżano tutaj jak na Alaskę. Ukradkiem, po cichu, przecierano nadbrzeżny las.

ZAKOŃCZENIE POGODNE

Jutro wracamy do Łodzi. Ostatni wieczór spędzamy w towarzystwie miłych gospodarzy modrzewiowego dworku pp. Wiśniewskich, którym



Modrzewiowy dworek, dawna siedziba gauleitera Foerstera.

myśliwskie i rodzinne festyny. Była to letnia rezydencja królewskiego gauleitera, wybudowana starannie przy dużym nakładzie sił twórczych jakiegoś architekta. Wspaniała prostota, odbiegająca od germańskiej ciężkości brył, skromna ornamentacja i wielkowność. Jeszcze dzisiaj dworek wygląda jak nowy, jakby niedawno zamarło w nim korsarskie życie.

Sto metrów za dworkiem widać małe wzniesienie z resztkami żelaznych drzwi i ciemnym otworem. To był ów słynny schron gauleitera, do którego wchodziło się z nieznanymi do dziś drzwiami w dworku.

Z latarkami wsuwamy się przez zapasowe, rozbite żelazne drzwi do wnętrza lochu. Pachnie wilgocią, pleśnią ścianach. Długi korytarz z podcieniami, widać resztki drogocennej boazerii, jakieś kartki z nutami walują się po betonowej podłodze. Kiedyś panował tu komfortowy ład. Stąd wywieziono zaraz po wojnie cenne futra, zastawy i an-

ale kawałek drogi już jest czysty. Za nim następny i jeszcze kilka razy tak przetworzony manewer i jest już wolna droga do szosy. Można teraz wyjechać każdym wozem z wielkiego zdobycznego parkingu. To było zaraz po wojennych działaniach, kiedy wyspa straszyla jeszcze trupami. Zostało opowiadanie...

FWP powierzył prowadzenie tego ośrodka wypoczynku dla ludzi codziennej pracy. To chyba jest najpogodniejsze zakończenie naszej wyprawy.

Jeszcze tylko jeden romantyczny szczegół. Parę lat temu p. Tadeusz Wiśniewski prowadził ten ośrodek sam — i nagle pewnego dnia przyjechał do niego inspektor FWP w spódnicy — p. Irena. Książki wczasowego budżetu były w porządku, tylko powstał z tego inny konflikt — sercowy. Pani inspektor została panią Wiśniewską i teraz od wielu lat razem i z dużym sukcesem prowadzą swoją „Mewę”, w której niedługo szalał gauleiter Foerster.

TAJEMNICZY CAMPING

Siedząc nad morzem nie można sobie odmówić przyjemności chociaż raz dziennie zażyć kąpiel morskiej kąpiel. Chodziliśmy się kąpać zawsze wczesnym rankiem, kiedy las spowity był jeszcze woalką mgły. Wtedy na plaży jest cicho, szum morza nie kłóci się z gwarem turystów. Idąc bocznym szlakiem do plaży zobaczyliśmy kolorowy namiot campingowy i osobowy samochód ze znakiem rozpoznawczym „D”. Obcy turysta — wóz był nowy, wygodne pompowane leżaki stały obok. Dziennikarza interesuje wszystko, lubi zaglądać ludziom w garnki, ale tutaj jakoś nie wypadło nachodzić gości. Przez dwa dni obserwowaliśmy jednak turystę. Rzadko bywał na plaży jadł w namiocie własny prowiant, wóz nie jeździł po wyspie. Działo się to w pobliżu, poręset

A SPRAWA SKARBU — pozostaje nadal tajemnicą. Odkryliśmy tylko siedem luźnych bezspornych skarbów — słońce, morze, burzyna, krajobraz rybackich wiosek, piękny — podobny do sycylijskich — port Świńno, wspaniałe konary nadbrzeżnych rozdartych sosn i ładną dziewczynę z piaszczystej plaży tajemniczej wyspy.



Wejście do schronu było dobrze zamaskowane...

Tekst:
LEON JANKOWSKI
i KAROL KOWALSKI
Zdjęcia:
LEON JANKOWSKI

odgłosy str. 3



CZĘŚĆ DRUGA

HEBEFRENIA

Powikłana postać schizofrenii. Oprócz normalnych objawów schizofrenicznych (omówione dalej) w zachowaniu chorego uderza blażność. Hebefrenia też zaczyna się ostro i niespodziewanie dla otoczenia.



Blażująca hebefreniczka¹⁾

Chorzy zachowują się hałaśliwie, są stale podnieceni, bez powodu wybuchają śmiechem, który trwa niekiedy wiele godzin. Ich absolutna obojętność wobec otoczenia podkreśla brak wszelkiej agresywności, nawet osłabienie reakcji obronnych. Szczególnie upodobanie znajdują hebefrenicy w nasładowaniu dzieci: ich sposobu mówienia, mimiki, zabawy.

Hebefrenia jest najtrudniej uleczalną postacią schizofrenii.

KATATONIA

Powikłana postać schizofrenii, gdzie oprócz normalnych objawów właściwych dla tej grupy chorób umysłowych dochodzą ponadto stany szczególnego podniecenia ruchowego – lub odwrotnie – stany osłupienia. Katatonia podobnie jak hebefrenia, zaczyna się zwykle ostro i niespodziewanie.

W przypadku podniecenia chorzy stają się bardzo niebezpieczni dla siebie i dla otoczenia. Skaczą, biegają bez celu, niszcza wszystko co im popadnie pod rękę, niszcza nawet własne ubranie. Rzucają się również na osoby z którymi tuż przed stanem podniecenia mogli spokojnie rozmawiać.

W przypadku przeciwnym chorzy wpadają w osłupienie i nie reagują zupełnie na zewnętrzne bodźce. Jeżeli chodzą, to



Oslupienie katatoniczne¹⁾

ruchy ich są powolne, właściwie snują się jak we śnie, jak „zaczarowani”. Najczęściej jednak zastęgnięci w jakiejś pozycji, której nie pozwalają naruszyć. Występuje np. tak zwana „poduszka katatoniczna” – chory leżąc unosi głowę nad



„Giełkość woskowa” w katatonii²⁾

poduszką i może tak trwać godzinami. Chorzy w osłupieniu na ogół nie przyjmują pokarmów, zaniedbują się ekstrementami. Wymagają bezustannej opieki, a karmienie odbywa się sztucznie, przeważnie przez nos. Spotykana jest również w osłupieniu katatonicznym „giełkość woskowa”: badający może nadawać kończynom chorego odpowiednią pozycję, która chory skrupulatnie utrzymuje. Tak np. katatonik może przez wiele godzin stać na jednej nodze z obu rękami wzniesionymi do góry.

Katatonia, mimo drastyczności objawów, jest łatwiej uleczalna od hebefrenii.

LUNATYZM nie ma nic wspólnego z księżycem. Jest to rzadki stan somnambulizmu (sennowidztwo), w którym chorego podlegają zmianom histerycznym i hipnotycznym, niekiedy z padaczką



a także z innymi chorobami umysłowymi.

W lekich przypadkach przejawia się mowieniem przez sen z możliwością nawiązania przedmiotowej rozmowy ze śpiącym. Senne wędrowki okryte głęboką nieświadomości chorego należą już do przypadków cięższych. O ile leczenie domowe nie polegało na uporczywym stawianiu miski z wodą przy łóżku lunatyka, co zwykle komplikuje przebieg choroby, rokowanie może być dobre.

PADACZKA (epilepsja)

Objawy tej choroby są ogólnie dość znane, przynajmniej tyle, że cierpiący na padaczkę ulegają co pewien czas – częściej lub rzadziej – napadom epileptycznym, w których tracą

przytomność, a ciałem ich wstrząsają charakterystyczne konwulsje.

Co do przyczyn padaczki istnieją obecnie dość prawdopodobne, choć nie we wszystkich przypadkach sprawdzalne przypuszczenia. Wymienia się alkoholizm i kłótnie rodziców, urazy porodowe, urazy i guzy mózgu.

Z padaczką, zwłaszcza długotrwałą, łączą się często poważne zaburzenia psychiczne: ośpienie padaczkowe i stan pomroczny padaczkowy.

W ośpieniu padaczkowym życie umysłowe chorego podlega degradacji, wyraz twarzy staje się tępy, bezmyślny, mowa niewyraźna, bełkotliwa, pamięć zamazana, orientacja niedokładna. Stan ten przechodzi w chroniczny i po pewnym czasie uniemożliwia choremu wykonywanie pracy, prowadząc także do znacznych trudności w kontakcie z otoczeniem.

Stany pomrocne polegają na okresowym (czasem kilka razy do roku) zaburzeniu świadomości i chory zaczyna nagłe żyć innym życiem. Nierzadko podejmuje dalekie podróże i budzi się niespodziewanie w pościgu nie mogąc zrozumieć aktualnej sytuacji. Po przeminięciu stanu pomrocznego, który szczerze pokrywa absolutną niepamięć, chory z powodzeniem może się włączyć do normalnego życia.

Przypadki stanów pomrocznych stały się wdzięczną kawią wielu utworów literackich. Chętnie korzysta z nich również film. Jest jednak wątpliwe, aby jeden stan pomroczny trwał dostatecznie długo dla zorganizowania nowego środowiska i nowych warunków życia. W każdym razie chorzy w stanie pomrocznym mogą zachowywać się zupełnie poprawnie i nie zwracać na siebie uwagi otoczenia. Również ich czynności mogą być celowe i naturalne.

Rokowanie w padaczkę jest wątpliwe, zwłaszcza gdy w grę wchodzi obciążenia dziedziczne. W przypadkach uwarunkowanych guzem mózgu lub urazami stosuje się m. in. zabiegi chirurgiczne i odmę czaszkową.

W 1955 r. szpitale psychiatryczne w Polsce przyjęły 1732 chorzych na padaczkę, co stanowi 5,3 proc. pacjentów.

PORAŻENIE POSTĘPUJĄCE (paraliż postępowy)

Kilowe schorzenie mózgu, zwane również czwartym stadium kily, na które zapada ok. 5 proc. syfilityków. Okres „utajenia” (przed wystąpieniem objawów) trwa zwykle długo i może trwać do 30 lat od chwili zarażenia. Proce, zwykle ulega przyspieszeniu, jeżeli chory jest alkohikiem. W ogóle alkohol nie jest obojętny na samo formowanie się schorzenia. Znamienny jest fakt, że wśród chorzych na porażenie postępujące spotykamy trzykrotnie więcej mężczyzn niż kobiet.

Przed pojawieniem się poważnych zaburzeń psychicznych chorzy na ogół przechozą okres zwany neurastenią kilową. Stają się drażliwi, orzwgnięni, nie mogą skupić uwagi, cierpią na bezsenność i bóle głowy. Stan ten może trwać długo i nie musi być absolutnym zwiastunem porażenia postępującego. Jest oczywiście owoiem, że sama świadomość kiej choroby, jak kila, oddziałuje ujemnie na samopoczucie.

Porażenie postępujące rozpoczyna się ośpieniem. Pierwsze zostają zantakowane czynności umysłowe, zwłaszcza pamięć, uwaga, zdolność kojarzenia. Zanikają również uczucia wyższe, a zachowany ponad płciowo ujawnia się bezwstydnie i natargowicie. Nierzadkie są stany euforyczne, nacechowane samopoczuciem nadprzyrodzonej siły, powodzenia, urrody, bogactwa.

Poprzez kolejne fazy degradacji chory może zejść do stanu poniżej zwierzęcego. Oczywiście w tej sytuacji współżycie z otoczeniem jest wykluczone.

Rokowanie w porażeniu postępującym jest wątpliwe, a w każdym razie spustoszenia dokonane w czynnościach uczuciowych i umysłowych są nieodwracalne, mogą co najwyżej ulec zahamowaniu i to tylko przy intensywnym leczeniu. Przeważa jednak zejście śmiertelne.

W 1955 r. w szpitalach psychiatrycznych w Polsce przyjęto 848 chorzych na porażenie postępujące, co stanowiło 2,5 proc. ogółu pacjentów.

SCHIZOFRENIA

Dawna nazwa: ośpienie wczesne (dementia praecox). W r. 1955 przyjęto do szpitali psychiatrycznych w Polsce 12,285 chorzych na schizofrenię, co stanowiło 37,6 proc. pacjentów. Schizofrenia jest więc najbardziej rozpowszechnioną chorobą umysłową i obecnie wysiłki medycyny koncentrują się dla wykrycia jej przyczyn i opracowania skutecznej terapii.

Właściwie schizofrenia oznacza szereg jednostek chorobowych, które omawiamy tu pod odrębnymi hasłami: hebefrenia, katatonia i schizofrenia paranoidalna. Wspólną ich cechą jest rozpad osobowości, stanowiący równocześnie podstawę rozpoznania tak zwanej schizofrenii prostej. Schizofrenia prosta polega w zasadzie tylko na rozpadzie osobowości. Natomiast hebefrenia, katatonia i schizofrenia paranoidalna są jej powikłaniami, przy których występują objawy dodatkowe.

Aby Czytelnik mógł łatwiej zrozumieć istotę rozpadu osobowości posłużymy się przykładowym opisem przeciętnych objawów schizofrenii prostej.

Zachorowanie może nastąpić już w wieku dziecięcym, rzadko jednak po 30 roku życia. Mowa oczywiście o memencie zachorowania, a nie o chwili ujawnienia choroby, może ona bowiem długie lata uchodzić uwadze otoczenia. Statystycz-



Rozpad osobowości. Chory słucha „głosów” treści prześladowczej, zachowując rozszewloną wyraz twarzy¹⁾

nie: najbardziej podatnym wiekiem jest okres dojrzewania. Objawy są następujące: – mniej lub więcej zakłócone dostosowanie do współżycia, zarówno przez brak zainteresowania otoczeniem ze strony chorego, jak i przez niewłaściwe reakcje uczuciowe, niezgodne z potrzebami współżycia. Chorzy stają się arogancy, opryskliwi, traca poczucie dystansu w obcowaniu z ludźmi, którym należy się szczególny szacunek; – brak lub osłabienie związku między czynnościami: umysłowymi, uczuciowymi i ruchowymi. Np. ruchy chorego mogą być niezgodne z wypowiedzianymi myślami, mimika może odzwierciedlać uczucia przeciwne tym, których chory istotnie doznaje; – rozkojarzenie czynności umysłowych, brak związku między myślą i słowem. Czasem przy zapytaniu chory odpowiada zupełnie co innego, jakkolwiek ta odpowiedź może być wraźliwa po orawnie i w logicznie zbudowanym zdaniu. (W stadium zaawansowanym mowa bywa również rozkojarzona i wypowiedzi chorego stają się ciągiem słów, z których zaledwie po 2-3 mogą do siebie pasować, całość zaś jest tyndowym „gadaniem od rżeczny”). Nawet w formalnie logicznych wypowiedziach uderza absurdalność i brak związku z rzeczywistością. Może być jednak zachowany

talent – np. muzyczny czy plastyczny. Tworzość schizofrenika będzie jednak zawsze nieprzeciętnie ekstrawagancją. (Na ile najnowszych kierunków w sztuce można niekiedy powątpiewać o ekstrawagancji schizofrenicznej, lub o... normalnym wyrazie aktu twórczego);

– w życiu uczuciowym następują spustoszenia. Obojętność i sztywny chłód wobec najbliższych z jednej strony, wzmrożona wrażliwość na jakikolwiek uchybienia w stosunku do siebie – z drugiej. Wyraźnie słabnie popęd płciowy. Nierzadko pojawia się skłonność do mistycyzmu, dewocja. Znamienny jest brak uczuciowego zabarwienia głosu. Wypowiedzi schizofrenika nie podlegają uczuciowej modulacji, bez względu na ich treść;

– w zachowaniu chorego można dostrzec dziwaczność, sztuczność – i to zarówno w sposobie chodzenia, jak i prowadzenia rozmów. Praca wykonywana jest niechlujnie, na ogół mechanicznie. Często pojawia się nieuzasadniona rozdrażnienie prowadzące do poważnych konfliktów z otoczeniem, nie wyłączając rękoczynów.

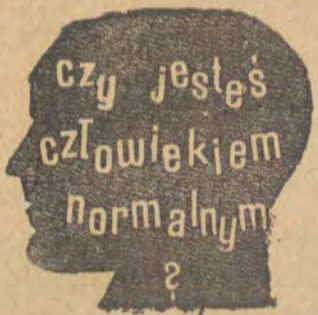
Rokowanie w leczeniu schizofrenii jest dość pomyślne, zwłaszcza w stadium początkowym choroby. Obecnie przyjmuje się, że do 60 proc. przypadków podlega wyleczeniu. Schizofrenia leczy się między innymi snem, insuliną, w przypadkach cięższych również elektrowstrząsami. We wszystkich przypadkach schizofrenii orzeka się całkowitą nieopieczność, jeśli chory jest sprawcą czynu przestępczego.

SCHIZOFRENIA PARANOIDALNA

Postać schizofrenii powikłana urojeniami. Od urojeń, które były już opisywane w „Odgłosach” na przypadkach parafrenii i paranoi różni się one brakiem usystematyzowania oraz uderzającą absurdalnością. To właśnie chorzy na schizofrenię paranoidalną są materiałem ulubionych anegdotek o „wariatach”: Napoleonach, jąbłkach spadających z drzewa, kanarkach – i wielu innych. W tej postaci schizofrenii urojenia bowiem nie mają żadnych granic. Od wielkościowych, którym towarzyszą wszystkie akcesoria znanierowania, nonszalanckiej mimiki, gestów i mowy – aż po drastycznie prześladowcze, gdzie chory uważa się za umarłego przebywającego w piekle i podlegającego wyrafinowanym diabelskim torturom.

Postać paranoidalna jest najczęściej spotykanym schizofreniem w grupie schizofrenii.

¹⁾ na podstawie „Psychiatrii Klinicznej” T. Bilikiewicza.
²⁾ na podstawie „Zarysu psychiatrii” L. Korzeniowskiego.



Wkrótce:
INTELEGENCJA
i ZDOLNOŚCI
ZAWODOWE

— Niech będzie pochwa-
lony Jezus Chrystus... uwa-
żam... przepraszam... Panie
Boże Wielki zapłać... — to
wszystko co pozostało mi w
pamięci po człowieku, który
gdzieś przed 20 laty, w ści-
śle odmierzanym odstępie
czasu stuknął do naszych
drzwi żebrząc. Pierwsze
słowa formułki zawsze wy-
powiadał w rytmie skocznej
melodii, a dopiero stopnio-
wo przechodził w niezrozu-
miałe, jak gdyby usprawie-
dliwiające się mamrotanie.
Nie pamiętam już, jak wy-
glądał, ale pamiętam, że bu-
dził we mnie strach, staran-
nie podsycany słowami bab-
ki: „Bądź grzeczny, bo cię
dziać zabierze”. Tak więc
kiedyś moja wiedza o dzia-
dach sprowadzała się do te-
go, że uważałem ich za lu-
dzi sprawujących nadzór
nad niegrzecznymi dziećmi
w zamian za co otrzymują
datki.

A co dzisiaj dzieciom po-
zostało z podobnego rozu-
mowania? No, bo też i
gdzie znajdziecie „przy-
zwoitego” dziada, takiego
jak to kiedyś bywali, który-
by o kłjku (z wyjątkiem
cmentarnej) w „frędzlowa-
nych” trzydziściu ciu-
chach i na bosaka włożył
się? Teraz chodzą faceci w
całych, jako tako dopaso-
wanych ubraniach, nie
rzadko w płaszczach prze-
ciwdeszczowych, w koszuli
na grzbiecie i tylko zmierz-
wioną czupryną, umorusaną
fizys, z tygodniowym zarob-
kiem — „podrywają” prze-
chodniów. I kudy im stra-
szyc dzieci?

A spróbujcie takiemu, z
przepraszaniem nowoczesne-
mu dziadowi, zamiast grub-
szego grosiwa, kromkę chle-
ba za drzwi podać, no, czar-
na wasza godzina — jak
mówi jedna pani redaktor.

Co innego dawniej. Da-
wniej całkiem inaczej bywa-
ło. Wystarczył kawał chle-
ba, stary ciuch, a grosik (!),
Boże złoty, i już krokodyle
czy ciurkiem płynęły. Poza
tym istniał zasadniczy pod-
ział dni na tak zwane chude
i tłuste. Do tłustych nale-
żały dni przedświąteczne
i świąteczne, dni odpustów
i dzień Wszystkich Świę-
tych. Chociaż nazywanie
wszystkich pozostałych dni
chudymi byłoby jeszcze co

najmniej nieścisłe. Cho, cho!
A dnie wypiat — przed fa-
brykami, niedziele — przed
kościółkami, cmentarze, od
drzwi do drzwi — grosik do
grosika, i złotóweczki lecia-
ły, leciały...

Zresztą i samo życie że-
braczy było jak najbardziej
zorganizowane w klany dzia-
dowskie pod przywództwem
najsilniejszego (względnie
najsprytniejszego), do kó-
rego w dniach chudych nale-
żało najintraćniejsze miej-
sce pod ekskluzywną re-
stauracją, kościołem kate-
dralnym itp. W dniach tłus-
tych natomiast, „galowy
występ” dziadów np. w czasie
odpustów poprzedzały
specjalne przygotowania.

Ale już dzisiejszy odpust
to karykatura tamtych lat.
Dwa kramy na krzyż z dwo-
ma żebrakami — ot i od-
pust, po którym waleśają
się faceci z „ciwartkami” w
kieszeni, umizgujący się do
rozmodlonych niewiast. Ty-
ko okrzyki: „...Białe wy-
grywa, czarne przegrywa!”
tu!aj, tutaj, wygrać, prze-
grać, za jedyną złotówkę!
Komu, komu, bo idę do do-
mu!...” pomieszane z bla-
szanym głosem żebrzącego:

„...a gdy pójdę z wrogiem
na bagnety (bis),
bagnet mnie ukłuje,
śmierć mnie ucałuje...”

przypominają to, co zwy-
kliśmy nazywać odpustem.

A na ulicy? Idzie sobie
taki facet jak zwykły pra-
cujący obywatel, wskoczy do
jednej czy drugiej kawie-
rni, albo stanie na „godzin-
ki” w najruchliwszym miej-
scu miasta, ściągając nakry-
cie głowy (to już wyjątek)
i a nuże zawodzić — słowem
czy instrumentem pod li-
tościwą publiczkę. Jak kie-
szeń mamona, napęczniała,
czapka na głowę i znów
zwykły przechodzień, na wi-
dok którego w knajpie czy
pijalni piwa nikt się nie
zdziwi. Nie mówiąc już o
tym, że i państwo co mie-
siąc setek kilka dorzu-
ci (!). Tak, tak — jak nie
rentę to zapomogę. Zresztą
sami przyrzycie się:

Na pewno każdy z nas no-
si w pamięci postać żebrza-
cego (najczęściej pod PDT
„Jerzyka”, „Rozmodiony”,
nierzadko z dużym krucy-
fiksem w ręku zbiera nie-
lada żniwo. A ludzie? Da-

TEKST MARIAN ZDROJEWSKI

DZIADY

Zdjęcia Kudaj i Michałowski



ją! Jedni dla świętego spo-
koju, inni dlatego, że —
„jak się Boga nie boisz, ka-
leki nie wspomóc”, jeszcze
inni bo mają gest. Ludzie
dają, bo są dobrotliwi i...
naiwni. O tej naiwności
wie coś niecoś matka Jerzy-
ka, p. Witkowska, zamie-
szkała przy ul. Kopernika
20. Wie, gdyż ilekroć zatrzy-
mano Jerzyka — 32-letniego
kalekę i umieszczano w za-
kładzie specjalnym, tylekroć
na osobistą interwencję
matki i składane zobowiąza-
nia, Jerzyk wracał do domu.
Wracał, zapomogę państwo
jak płacił tak płaci, a on
jak żebrał tak żebrze. Jak-

by inaczej... naiwnych się
znajdzie!

Podobnie sprawa wygląda
z Józefem Białowasem, lat
55, rencistą, żonatym (żona
pracuje, bezdzietnym, któ-
ry ma prawostronny para-
liz; niewidomym Dionizym
Bogusławskim, lat 27, renci-
stą, który porzucił żonę z
trojgiem dzieci, a przyjął do
własnego mieszkania inną
kobietę, czy wreszcie niewi-
domą Zofią Weber, lat 45,
będącą na „utrzymaniu”
syna.

Mógłbym przedstawić tu-
taj całą plejadę żebraków,
od których nie są wolne uli-
ce, restauracje i kawiarnie.
Co prawda obsługa lokali ma
obowiązek niewpuszczania
żebraków, ale...

O tej porze w kawiarni
jest pusto. Gdzieś tam
pochylone nad stolikiem gło-
wy pań, panierek, panów —
którzy wyskoczyli z pracy
na pół czarnej czy za inte-
resem — poruszają się wa-
hadłowo. Panuje jakieś dzi-
wne rozleniwienie, któremu
uległa nawet kelnerka, ocie-
rająca posuwicie biodrami
o stoliki. Ten stan widać
ogarnął również i dwie upi-
erścienione, przysadziste
jejmocinie, które nie do-
strzegają w lusterku braku-
jącej szminki zjedzonej w
czasie utyskiwania na co-
dzienny utarg.

Pochód żebraczy otwiera
dość zwawo, gdzieś pięćdzie-
sięciokilkuletni „starszy pan”
w białym, nieprzemakalnym
płaszczu. Na jego widok w
kawiarni zapanowała kon-
sternacja. „Starszy pan” za-
trzymał się w drzwiach ka-
wiarni. Rozejrzył się swoimi
zaczerwienionymi i prze-
krwionymi oczami po sali i u-
kląkł tuż przy drzwiach
wejściowych. Modlił się gło-
sno, nabożnie, łzawo:

„...Zdrowaś Maryjo

taskiś pełna
Pan z tobą, błogostawionaś
ty między...”.
Powstając ze słowami „Bra-
cia w Chrystusie” ruszył
między stoliki. Ludzie da-
wali. Jedni z zażenowaniem,
inni dla świętego spokoju,
jeszcze inni, bo mieli gest.
Czułem się zażenowany, pra-
gnąłem spokoju, ale brakło
mi gestu, wówczas „starszy
pan” ukląkł ponownie, ale
już przy moim stoliku i
rozpoczął płaczące modły:
„...O Panno Maryjo, pocie-

stwa na jutrzejszy koncert
o tej samej porze.

Porwał z bufetu talerzyk
i krając po sali żebrał. Ze-
brał dumnie, jak przystało
na wielki talent. Zebrane
pieniądze wrzucił do kiesze-
ni i wybiegł.

Rozweselone koncertem
twarze upierścienionych pań
zrzędy na mój widok. Po-
śpiesznie wstały od stolika
i przechodząc obok mnie ci-
snęły:

— Cholera!

Powód, dla którego przy-
toczyłem powyższe obrazy
tłumaczy się sam za siebie.
Trzeba wszakże uzmysłowić
sobie, że mamy do czynienia
z ludźmi nie pozbawio-
nymi pomocy material-
nej, ale z ludźmi, którzy
świadomie żerują na ludz-
kiej dobroci. Wystarczy
zwrócić uwagę chociażby na
żebraczy metody, które je-
den z moich znajomych po-
dzielił na trzy zasadnicze
rodzaje: żebranie „na ser-
ce”, czyli „Zdrowaś Mary-
jo...”, ewentualnie żerowa-
nie na własnym kalectwie;
żebranie „na patriotę” czyli
„a gdy pójdę z wrogiem na
bagnety”, „Czerwone maki”;
wreszcie żebranie „na cha-
ma”, czyli „proszę o wsparcie,
wracam z więzienia”. Oto i
metody obliczone nie bez
kroci na naiwność. A nai-
wni? Naiwni płacą w imię
złego pojętego humanitaryzmu.
Naiwni płacą, bo nie mają
rozeznania w dotacjach, ja-
kie państwo łoży na ludzi,
którzy ze względu na swój
podeszły wiek, bądź nieule-
czalną chorobę czy kalectwo
nie mają warunków do u-
trzymania się z pracy. Nai-
wni płacą wreszcie, bo nie
wiedzą, albo nie chcą wie-
dzieć, że istnieją dobrze
prowadzone Domy Opieki,
Domy dla Nieuleczalnie
Chorych, którym poświęcę
jeden z następnych reporta-
ży.

Dlatego uważam... prze-
praszam... dziękuję.

* * *

P.S. „Starszego pana” z
kawiarni i staruszkę spot-
kałem jeszcze raz w tym
dniu. W restauracji „Świt”
(Piotrkowska przy Zamen-
hofa). „Starszy pan” w go-
dzinach wieczornych płacił
ponad 200 złotych rachunek
za... raczej nie obiad. Przy
okazji wygłosił mi większy
spicz na temat: warto czy
nie warto pracować. Jego
zdaniem nie warto. Starusz-
kę spotkałem jak funkcyj-
nariusze Milicji Obywatel-
skiej doprowadzali ją do
miejsc zamieszkania, to jest
do Domu Opieki na Wiśnio-
wej Górze, z którego ucie-
kla na żeby. Była pijana,
w stanie zamroczenia wy-
wolała awanturę, za co zo-
stała skazana przez Kole-
gium Orzekające na zapła-
cenie grzywny. Kto zapła-
ci? Kierownictwo Domu O-
pieki, bo uzebrane pieniądze
p. Helena Paszke (lat 62),
alkoholiczka, przepiła.

MARIAN ZDROJEWSKI



Uwaga!

Już wkrótce!

Wznawiamy



Papierowa dyplomacja

Dalszy ciąg
ze str. 2

ry preferuje do zmiany życia wewnętrznego swego kraju, a takim wydaje się zamiar Hitlera, potrzebuje pewnego okresu spokoju w stosunkach zewnętrznych.

d) Sam Hitler to raczej Austriak, w każdym razie nie jest Prusakiem. Rzuca się również w oczy, że wśród jego najbliższych współpracowników nie ma ani jednego Prusaka. Fakt ten stwarza nową sytuację, gdyż stare pruskie tradycje były w decydującej mierze przesłonięte nienawiścią do Polaków.

e) Wreszcie ruch hitlerowski jest ostatnim aktem narodowego zjednoczenia ludu niemieckiego, zjednoczenia świadomie zahamowanego w roku 1848 przez Bismarcka z obawy przed możliwością osłabienia hegemonii Prus w Niemczech.

Z tych wszystkich rozważań, opartych na ścisłej obserwacji położenia w Niemczech, wypływał wniosek, że stoimy w obliczu jedynej okazji polepszenia naszej sytuacji w systemie europejskiej równowagi („Pamiętniki Józefa Becka”, W-wa 1955, przekł. wyd. swaj. „Dernier rapport. Politique polonaise 1926—1939”).

Tę „jedyną okazję” realizuje Beck 26 stycznia 1934 roku „paktem o nieagresji” z Hitlerem.

Tymczasem pocziwy Austriak obsadza swymi wojskami zdemilitaryzowaną Nadrenę, zajmuje Sudety, przygotowuje się do całkowitej okupacji Czechosłowacji, zajmuje Klajpedę.

Znamienna jest wypowiedź ministra Becka na posiedzeniu Rady Ligi Narodów w dniu 18 marca 1936 r. w związku z naruszeniem przez Niemcy artykułów traktatu wersalskiego.

Rada Ligi Narodów rozpatrywała wówczas sprawę obsadzenia przez wojska hitlerowskie Nadreni, strefy zdemilitaryzowanej w pakcie locarneskim i traktacie wersalskim.

„Rząd polski i opinia publiczna w Polsce przywiązu-

ją największą wagę do konsolidacji normalnych stosunków między krajami europejskimi, co stanowi istotny warunek bezpieczeństwa w Europie. Temu warunkowi nie może się stać zadość, o ile nie będzie ściśle przestrzegana zasada, której Rząd polski zawsze bronił, a mianowicie, że interesy jakiegokolwiek kraju niezależnie od jego znaczenia nie mogą stanowić obiektu negocjacji międzynarodowej bez udziału i bez zgody zainteresowanego”. (J. Beck. „Przemówienia, deklaracje, wywiady” W-wa, 1938.)

Wywiad udzielony przez ministra Becka w Genewie 30 stycznia 1938 r. przedstawicielowi czołowego dziennika hitlerowskiego „Völkischer Beobachter” wyraża pełne zaufanie dla traktatu z Hitlerem, ostatecznej sytuacji międzynarodowej.

„Na zapytanie w sprawie oceny wartości deklaracji polsko-niemieckiej o nieagresji minister Beck powiedział:

— Już często wyrażałem opinię, że niemiecko-polski układ o nieagresji dzisiaj, podobnie jak i przed trzema laty, jest jednym z najważniejszych elementów stabilizacji Europy.

Na zapytanie, dotyczące polityki francusko-polskiej i stosunków polsko-niemieckich, minister Beck odpowiedział:

— Polsko-niemiecki układ o nieagresji zawarty został po obu stronach z pełną świadomością istnienia sojuszu polsko-francuskiego. To też jest zupełnie zrozumiałe, że te dwa ważne elementy pokoju europejskiego nie pozostają ze sobą w sprzeczności.”

(J. Beck „Przemówienia, deklaracje, wywiady” W-wa 1938.)

Papierowa dyplomacja ministra Becka przesłania całkowicie obraz i siły wschodniego sąsiada — Związku Radzieckiego. Ba! Minister Beck traktuje z nonszalacją przedstawicieli Kraju Rad. Charakterystyczne jest oświadczenie Becka w toku dyskusji na zgrupowaniu Ligi Narodów w dniu 16 września 1935 r.

„W kilku zdaniach tego

GŁÓWNY

STAN II

7731 /11.3.0.

VIII na 8.

tuacji między-
z terenu Portu-

I.N. 902

TAJNE

MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH

Departament Polityczny

w miesiącu.

Przesyłam Panu Dyrektorowi odpis pisma naszego attache wojsk. w Lizbonie do wiadomości i proszę o nadestanie swoich spostrzeżeń co do wyrażonych w raporcie poglądów oficerów zagranicznych.

L. Luk.

SZEF WIZJIARU IV ODZ. II SZT.

Balala
BANACH

Ppk. dypl.

przemówienia, bardzo niedwuznacznych, pomimo swoich niedomówień, pan Litwinow uznał za możliwe w sposób wyraźnie stronniczy i całkowicie arbitralny wydać sąd o niektórych aktach dyplomatycznych, zawartych przez mój kraj. Przeciwno podobnemu postępowaniu uważam za konieczne złożyć tutaj najdalej idące zastrzeżenia. Jasnym jest, że tego rodzaju opinie o polskiej polityce są dla mojego Rządu najzupełniej obojętne. Jednakże jestem przekonany, jako przedstawiciel Państwa, członka założyciela Ligi Narodów, że takie sposoby postępowania, nie odpowiadające obyczajom, panującym na tym wysokim Zgromadzeniu, mogą jedynie zaszkodzić lojalnemu, międzynarodowemu porozumieniu, które jest nieodzownym warunkiem naszej współpracy.”

(J. Beck „Przemówienia, deklaracje, wywiady”).

Po wizycie u kanclerza w Berchtesgaden p. minister Beck otrzymuje optymistyczny raport od swego ambasadora w Francji, Juliana Łukasiewicza.

W raporcie czytamy m. in.: „O ile przed wrześniem

(tj. przed układem w Monachium — przypis mój) Rosja Sowiecka była traktowana, jako najważniejszy we Wschodniej Europie sojusznik, który ewentualnie miał wywierać presję na nas, o tyle dziś jest na odwrót. Polska występuje w roli właściwego partnera Francji, a stosunek do Rosji Sowieckiej staje się raczej czynnikiem pomocniczym i nieco formalnym, mającym na celu zapewnienie tyłów Polski. I w tej dziedzinie jesteśmy również świadkami ewolucji pożądanego i zdrowego, bo zgodnej z realnym układem sił we Wschodniej Europie... Politycy francuscy i opinia tutejsza (w Anglii przypuszczam to samo) są skłonni traktować dotychczasowe pozytywne rezultaty naszej polityki, jako wynik chwilowej dobrej woli, a raczej przemijających planów Kanclerza Hitlera, niż jako rezultat naszych własnych działań i siły. Z tego też powodu sytuacja nasza wydaje się im stale pod znakiem zapytania, a nasze możliwości bardzo wątpliwe. Pod wpływem ostatnich wypadków i posunięć Pana Ministra jedynie zaufanie do rzeczywiście samodzielności

i niezależności naszej polityki wzrosło.”

Tej cudownej stabilności pokoju europejskiego, cparte go na aliansie polsko-niemieckim, uparcie nie potwierdzają raporty II Oddziału Sztabu Głównego. Oto fragment raportu, mówiący o tym, że cały świat powoli przygotowuje się do wojny (data 8 sierpnia 1938):

„Plk. Daly (angielski informator autora raportu „dwójki” — przyp. J. J.)... podkreślił w b. silny sposób już dzisiaj osiągnięte wyniki współpracy Anglii ze Stanami Zjednoczonymi. Odnosnie obowiązkowej służby wojskowej zaznaczył, że przez przysposobienie wojskowe, naukę strzelania i przygotowanie silnych kadr ochotniczych dla obrony przeciwlotniczej, służby transportowej i sanitarnej, Anglia przygotowuje sobie możliwość b. szerokiego rozwinięcia Armii Metropolii. Anglia organizuje i przygotowuje na wielką skalę rezerwy strategiczne w koloniach, zwłaszcza w Indiach. Od dwu lat przygotowuje i szkoli kadry sztabowe dla prowadzenia przyszłej wojny... W ten sposób Anglia obejmuje organizację i przygotowanie całego Imperium do przyszłego konfliktu.”

„Komandor Gade (amerykański informator autora raportu „dwójki” — przyp. J. J.)... oświadczył mi: idę owo idziemy absolutnie z demokracjami. W tej chwili studiowano w Ameryce sposób szybkiej pomocy dla Anglii i Francji, przychodzą do przekonania, że pierwszy fragment tej pomocy wyrazi się nie jak podczas Wielkiej Wojny, kiedy dopiero po upływie jednego roku pierwsi żołnierze amerykańscy weszli do akcji, lecz w przesłaniu 1.000 samolotów w ciągu 7—10 dni po rozpoczęciu wojny.”

Ponadto komandor Gade zwrócił mi uwagę na niedopuszczalne metody penetracji niemieckiej w Ameryce Południowej, na co Stany Zjednoczone nie mogą się zgodzić.

Pan Minister Beck jest więc doskonale zorientowany w polityce światowej, jej tendencjach i perspektywach.

W następnych numerach naszego pisma zapoznamy Czytelników z oceną sytuacji politycznej i militarnej naszych ambasadorów w Paryżu, Waszyngtonie i Londynie, na podstawie tajnej korespondencji dyplomatycznej.

c. d. n.

„PEWNEGO RAZU NA MERKURYM...”

— nowa powieść astronautyczna

już w następnym numerze

„ODGŁOSÓW”

MARIAN BIELECKI

Commentarze i sanatoria ludzkości

Czy ludzie się starzeją? Smieszne pytanie, prawda?

Ale jakże innej treści nabiera to pytanie w odniesieniu do większej społeczności ludzkiej? A jeśli tę społeczność rozdzielimy w czasie i przestrzeni i zechcemy przeprowadzić pewne porównania — o, wtedy już wcale nie tak łatwo znaleźć odpowiedź. Wtedy już trzeba się odwołać do poważnych badań naukowych.

No tak, ale ktoś naiwny mógłby zapytać, komu i do czego właściwie taka wiedza może służyć?

Otóż trzeba powiedzieć, że nie tylko ludzie naiwni nie zdają sobie często sprawy z narastającego we współczesnych społeczeństwach problemu starzenia się ludności.

W społeczeństwie dotkniętym procesem starzenia się ulegają zmianie nie tylko stosunki demograficzne, ale też społeczne, ekonomiczne czy polityczne. Zmienia się również psychika starzejącego się społeczeństwa.

Są np. uczeni, którzy twierdzą, że wielki konserwatyzm Francuzów w życiu rodzinnym, interesach i w

wielu innych dziedzinach jest związany z faktem, iż Francja posiada wysoki odsetek ludzi starych. Natomiast w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych stwierdzają, że ruchliwość gospodarcza i charakterystyczny dla tego kraju brak poszanowania dla tradycyjnych metod działania, jego prężność i dynamizm — jest konsekwencją wysokiego do niedawna odsetka ludzi w wieku poniżej 40 lat. A jeśli tak jest, to jaki wpływ na życie w USA wywrze w przyszłości starzejąca się ludność? Czy Amerykanie nie staną się bardziej konserwatywni w osobistych przyzwyczajeniach, w interesach, w polityce wewnętrznej i zagranicznej?

Problem ten ma również i inne aspekty. Wzrost odsetka ludzi starych wywołuje wśród ekonomistów i polityków wielu krajów duży niepokój związany z narastającymi z dnia na dzień kosztami utrzymania ludzi starych. Ten ciężar nieuchronnie spada na ludność w wieku produkcyjnym i

stawia przed rządami nowe zagadnienia w dziedzinie polityki społecznej.

A skoro już mowa o polityce. Oto np. pewien socjolog amerykański informuje, że w USA w roku 1940 ludzie starzy (powyżej 65 lat) stanowili ponad 10 proc. ogólnej liczby wyborców, a według obliczeń tegoż socjologa — w roku 1980 udział ich wzrośnie do ok. 18 proc. Natomiast w Anglii przewidywane jest, że w roku 1980 udział ludzi starych — to jest mężczyzn w wieku powyżej 65 lat i kobiet w wieku powyżej 60 lat — stanowi będzie więcej niż 1/4 ogółu wyborców. I do tego dodać należy, że w 1980 r. ludność w wieku emerytalnym stanowić będzie w Anglii niemal jedną piątą ogólnej liczby ludności. Czy wobec tych zjawisk będziemy się dziwić, jeśli w najbliższej przyszłości obie rywalizujące ze sobą partie angielskie zaczną szczególnie zabiegać o głosy starców, jeśli terenem rozrywek politycznych między konserwatywnymi i labourystami stanie się polityka socjalna?

A skoro taki jest demograficzny proces rozwojowy ludności, to czy nie należy spodziewać się zmian również i w medycynie? Czy nie bliskim prawdy jest prof. dr Edward Rosset^{*)}, który uważa, że niedaleki jest dzień, kiedy geriatra będzie bardziej poszukiwany od pediatry. Wszak jeszcze za naszego życia — według prognoz demograficznych — w Anglii i w niektórych innych krajach nastąpić ma zrównanie się liczby starców z liczbą dzieci.

Oczywiście, że nie wszędzie proces starzenia się ludności postępuje w takim tempie, jak w krajach wyżej wspomnianych. Wciąż bowiem Indie pozostają „commentarzem ludzkości”, na którym grzebie się blisko 70% ludności nie dożywającej starości, wciąż na wyspie Mauritius cztery piąte ludności schodzi ze świata przedwcześnie. Ale są przecież kraje takie jak Anglia, Izrael, Szwecja, Holandia, Norwegia czy Nowa Zelandia, w których ponad 80 proc. ludności dożywa wieku starości. I niewątpliwie, w miarę postępu cywilizacji i techniki w krajach gospodarczo zaoferowanych, w miarę polepszenia się warunków pracy i życia, w miarę udolnienia osiągnięć nowoczesnej higieny i wiedzy medycznej szerokim warstwom ludności — coraz bardziej

rozwiązać się będzie proces

starzenia się ludzkości. A wraz z rozwojem tego procesu stary porządek rzeczy ulegać musi gruntownemu przeobrażeniu. „Inne bowiem były wiązadła i normy społeczne w społeczeństwie rekrutującym się w pożądej proporcji z ludzi młodych, inne muszą one być w starzejącym się, a tym bardziej w starym już społeczeństwie. Świat, w którym żyjemy jest mało podobny do tego, jaki był udziałem ojców naszych. Inny będzie również świat naszych dzieci i wnuków. Będzie on inny nie tylko z powodu zmian technicznych i gospodarczych; inny on będzie również z powodu przeobrażeń demograficznych. Proces starzenia się ludności prowadzi do gruntownej zmiany oblicza społeczeństwa i obowiązujących w nim norm prawnych, moralnych i chyba też wszelkich innych” — powtarzam za prof. Rossetem.

A skoro tak jest, to zachodzi konieczność zbadania tego procesu. Właśnie tego zadania podjął się jódzki statystyk i demograf — prof. Edward Rosset. Jego książka pt. „Proces starzenia się ludności” jest nie tylko ukoronowaniem wieloletniej pracy naukowej, ale wkładem do nauki, którego rozmiary jak można sądzić wykraczają poza grani-

ce naszego kraju. Książka ta bowiem jest jedną z nielicznych tego typu prac w światowej literaturze naukowej, która tak wnikliwie, a zarazem tak wszechstronnie ujawnia nowe horyzonty demografii.

Cechą szczególnie charakterystyczną dla pracy prof. Rosseta jest to, że umiejętnie łączy rygorystyczne postępowanie naukowe z jasnym, czytelnym językiem. I to właśnie zalety sprawiają, że książka zainteresuje z pewnością nie tylko demografów, socjologów, ekonomistów i polityków, ale każdego inteligentnego czytelnika.

^{*)} Edward Rosset: „Proces starzenia się ludności”. Nakład Polskiego Wydawnictwa Gospodarczego, stron 764.





REPORTAŻ Z KRAINY CZARNYCH ZNAKÓW

Dokończenie ze strony 1

streszczenie i życiorys autora. Panią Zofię prosimy o kilka słów do naszego reportażu:

„Książki kupuję przeważnie w „Pegazie”. Ale tam jest teraz remanent. Potra chyba z dziesięć dni. Tam jest bardzo dobry personel, jeszcze nigdy się nie zawiodłam... Z biblioteki nie korzystam. Lubię mieć swoje książki, do których zawsze można powrócić. Ulubiony autor: Hemingway... Proszę bardzo, do widzenia”.

Jedziemy na Chojny. Księgarnia przy ul. Rzgowskiej 52. Książki kupują przeważnie inteligenci. Poza „kryminałami”. Ale tych nie określa się tu mianem książek. Jedziemy na Baluty. I tam książki kupują lekarze i adwokaci.

Wsiadamy w „45”. Jedziemy do Zgierza gdzie kiedyś miałem szczęście się urodzić. To typowe robotnicze, najbliższe sercu Łodzi miasto.

Małą księgarnię obsługuje jedna osoba — kierownik i sprzedawca Franciszek Olaczek. Z zawodu ekspedient. Pracuje w handlu od 18 lat. Zanim został księgarzem był ekspedientem w masarni. Na książkach można mniej zarobić, ale robota przyjemniejsza...

W księgarni oprócz mnie i kierownika są jeszcze dwie osoby zajęte wertowaniem pótek. Próbuje zaimprovizować małą dyskusję... Pani Danusia jest w 8 klasie, ale czytała już bardzo dużo. Ma w domu pokazanych rozmiarów bibliotekę, a mama jest stałą klientką księgarni. Ojciec inżynier. Pytam: — „Co pani lubi czytać, pani Danusiu?” — „Przeważnie książki historyczne” — notuję odpowiedź — „ale lubię także wiersze Gałczyńskiego i Asnyka. Kiedyś lubiłam Sienkiewicza, ale teraz bardziej podoba mi się Żeromski. Przepraszam, muszę powiédzieć mamie, że są już „Zielone oczy” Mackiewicza”.

Pozostał pan Bonifacy Sliwakowski. Z zawodu technik włókienniczy, ale w zawodzie swoim nie pracuje.

Jest synem znanego w Zgierzu i okolicy znachora.

Kierownik: Pan Bonifacy to dopiero ma bibliotekę, większa chyba niż ta cała księgarnia!

Pan Bonifacy: A tak, mam. Czytanie książek to mój konik. Nikomu nie poleżyczam, bo ludzie nie umieją szanować książki. Prasy nie czytam, chyba że do łóżka... Ze zdobyciem pozycji, które mnie interesują nie mam żadnych kłopotów. Zna się kierownika. Mam żal do Ossolineum, wypuściło na rynek za drogie i bardzo brzydkie jubileuszowe wydanie Słowackiego.

Ja: Jakże książki najbardziej pana interesują?

Pan Bonifacy: Wszystkie, które są ładnie wydane. Książki dobrej nie oprawionej w płótno nie kupię. Chce pan zobaczyć jakie książki lubię?... Kierownik, pokaż panu z mojej półki... O, widzi pan: to jest ładna książka „Życie Marianny” i „Pociąg renesansu” — cudnie wydane, co? Prawdziwy skarb dla bibliofila...

Ja: Jaki jest pana stosunek do współczesnej poezji?

Pan Bonifacy: Nie powinien wydawać. To za trudne dla czytelnika i tego nikt nie kupuje. Mickiewicz, Asnyk, Staff (tego raczej nie lubię) nawet Gałczyński, mają rym i dlatego idą. Ale ci współcześni — to wszyscy na jedno kopyto, jakby im kto kazal tak pisać. Kierownik, powinien pan z tymi tomikami zrobić tak jak w maju!

Kierownik: (wyjaśnia) A bo widzi pan, w maju nie wykonałbym planu i wpadłem na taki pomysł. Miałem dużo książek. Zrobiłem taki tydzień taniej książki pod hasłem „Tysiąc Książek na Tysiącłecie”... Najdroższa książka kosztowała złotych. Sprzedałem 2 tysiące i plan uratowałem. Przy okazji trochę ukradli, ale jakoś to poszło.

Klientka (zakłócająca dyskusję): Poproszę jakąś książeczkę, ale żeby było dużo obrazków...

Kierownik: „robotnicy owszem, kupują książki, ale większość moich klientów, to inteligencja. Tak przez jeden dzień to 60 ludzi u mnie kupuje, w tym chyba 5 z rodziny robotniczej... Ja mam panie praktykę. U mnie kto książkę chce kupić, to zawsze kupi. Mają już do mnie zaufanie. Przyjechałem 5 lat temu z Kolużek. Uruchomiłem tę placówkę, ale za mała była na Zgierz. Partia pomogła uruchomić drugą — większą. Prezydium mało się tym interesowało... Kup pan tę książkę — to „Zielone oczy” Mackiewicza. Widzi pan, obwoluta metaforyczna — „Ślepey” Breughela — to o zaślepieniu polskiej dyplomacji. Ja wczoraj jednym tchem przeczytałem... Zresztą niech pan jej nie kupuje, w Łodzi dostanie pan ją bardzo łatwo. U mnie to już ostatnia... Dobrych książek dostajemy bardzo mało, bo u nas niby mało inteligencji...

Antykwariat — dom starej książki. Tam zatrzymaliśmy się po powrocie do Łodzi. Pan Henryk Pakosiak, erudyta i znakomity fachowiec (45 lat praktyki w zawodzie księgarskim) niemal ojciec antykwariatu przy ulicy Piotrkowskiej 133, nie pozwolił nam długo odpoczywać. Najpierw oczarował nas pięknymi starodrukami: „Mundus Subterraneus” — Athanasij Kircheri — 1665 rok, „Corpus Juris Civilis” — 1663 rok. Potem z kasy ogniowatej pan Henryk wyjął jeden z najcenniejszych posiadanych na składzie zabytków: druk arjański z 1579 roku, dzieło przeciw kazaniom księdza Skargi napisane. Razem z tym drukiem wydawca arjański Johan Kiszka został spalony na stosie. Dalej wydane w Paryżu w 1865 roku „Roczniki Polskie” 1857—1861, pierwsze wydanie „Dzieł poetycznych wierszem i prozą” J. U. Niemcewicza, „Rachunki” — B. Bolesławisty — dzieło o którym mało wie nawet badacz twórczości Kraszewskiego itd. itd.

Henryk Pakosiak mówi: „Człowiek sprzedaje książkę tylko wtedy, gdy już nie ma pieniędzy. Przeważnie przed pierwszym. Drugi człowiek tę książkę kupuje, ale tylko wtedy gdy nie zakupi jej biblioteka, której najpierw trzeba ją zaferować. Bo musy pan wiedzieć, że nasz antykwariat zaopatruje przede wszystkim biblioteki wyższych uczelni naszego miasta, a także i innych miast w Polsce. Ludzie, którzy do nas przychodzą wiedzą czego szukają. Płacą każdą cenę bez mrugnienia okiem. Najbardziej są poszukiwane dzieła humanistyczne i tych najwięcej zakupujemy. Prace techniczne lub medyczne są przedmiotem zainteresowań bardzo nielicznego grona łódzkich naukowców. Nie pogardzili tymi ani żadnymi innymi księgami Niemcy, którzy w ramach bezdekwizowej wymiany z Pagartem wywozili co było i co się dało. Dwa lata temu odpowiednio zarządzenie ministra położyło kres tej bezmyślnej utracjuszowskiej polityce. Moja praca, praca antykwariusza różni się od pracy księgarza w zwykłej księgarni. Ja nie lubię sprzedawać książki, która jest pomnikiem polskiej kultury. Ja jako człowiek, nie pracownik handlu uspołecznionego, chciałbym ją zatrzymać u siebie jak najdłużej, a przecież mogę jej już nigdy nie zobaczyć! Pan rozumie? Pan się pyta czy ja nie mam planu? Czytał pan chyba, redaktorze, że nawet babcia w ustronnym miejscu zatrudniona swój plan musi u nas wykonać... Ja ukochałem książki i chyba one zabiorą mnie z tego świata... Mam pylicę płuc, ale lekarz powiedział, że mogę jeszcze 20 lat pracować i chcę pracować. Ten zawód się kocha, panie redaktorze... Ten zawód się kocha!...”

I. K. SCHMIDT

EDMUND PIETRYK

Święta rodzina

na kolanach przed ołtarzem
złością świętych przestraszona
bogów tam na pomoc wzywa
myśli ojca słowa syna
szepce matka boleściwa
moja wina moja wina

a wpatrzony w dno kieliszka
ciężkie czoło podparł dłońią
zagubiony w gwarze pijanym
smutek matki troska syna
mruczy Józef spracowany
moja wina moja wina

ich dzieciątko zbuntowane
wśród wściekłości świętych
swoim bogom daje chrzest
tańczy na pogorzeliisku nieba
podśpiewując — missa est

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

O ŁODZI SPRZED LAT

Ktokolwiek będzie kiedyś pisał o literaturze „łódzkiej” — zarówno w sensie tematyki jak pochodzenia autorskiego — musy zwrócić uwagę na postać Władysława Pawlaka (1902—1958), który tę „łódzkość” pod każdym względem reprezentuje znakomicie. W wydanym ostatnio tomie opowiadań Pawlaka — „Karuzela” — autor przedmowy, Jan Koprowski, przytoczył dość szczegółowo dane, dotyczące życia i twórczości zmarłego w ub. roku pisarza. Nie będę więc tu tych informacji powtarzał, podkreślę tylko dwie sprawy, które w życiorysie Pawlaka wydają mi się najistotniejsze i decydujące. Pierwsza sprawa — to jego wieczny, a nigdy niezaspokojony głód wiedzy. Pawlak „wszędzi w życie” mając ukończone zaledwie 4 klasy szkoły podstawowej. Ale było mu przecież tego za mało, o wiele za mało, toteż — drogą wielu wysiłków i wyrzeczeń — zdobył w r. 1926 świadectwo maturalne. A w r. 1954, mając już lat z górą 50, rozpoczął zaoczne studia uniwersyteckie na wydziale pedagogicznym.

Druga rzecz — to mnogość i różnorodność prac zarobkowych, jakich w swym trudnym i ciężkim życiu Pawlak musiał się imać — zanim wreszcie ustabilizował swą egzystencję. Oto co pisze na ten temat autor „Karuzeli”: „Byłem sprzedawcą i roznosicielem gazet, gońcem, pasażerem na wsi krowy, pracowałem jako robotnik na tartaku, w stolarni, w ślusarni, jako szewc, robotnik fabryczny, urzędnik, kierownik kina, księgowy, kierownik oddziału i wydziału, wicedyrektor liceum i wreszcie zostałem instruktorem badania budżetów rodzinnych...” Zaiście, niezwykle urozmaicona kariera życiowa (jeśli można to tak nazwać) tego syna łódzkiej rodziny robotniczej.

Twórczość Pawlaka, której rysami zasadniczymi są samorodność i autentyczność, nie należy do najobfitszych. Było niewątpliwie dużo dobrych i gorących chęci do pisania, nie wystarczyło jednak czasu i spokoju. I tak już trwało do końca, choć start pisarski Pawlaka był wiele obiecujący: jego pierwsza powieść „Kamienica wielkiego miasta” uzyskała w r. 1936 trzecią nagrodę na konkursie krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”.

Na tom zatytułowany

„Karuzela” składają się trzy opowiadania oraz fragmenty z wydanej w r. 1949 książki Pawlaka „Strajk albo nie strajk”. Ta książka była zbeletryzowaną relacją o strajku łódzkich szewców-chalupników, którego tło i przebieg w sposób niezwykle wyrazisty i charakterystyczny sytuację proletariatu Łodzi w latach przedwojennych.

Z trzech opowiadań zawartych w omawianym tu zbiorze, na pierwszym miejscu postawiłbym autobiograficzną i niemal dokumentalną historię „Jak rozpocząłem edukację?”, z której młodszego czytelnika, ten z młodziej lub średniej generacji, dowie się — zapewne ze zdumieniem — jak niesłychanie trudno było dziecku robotniczemu w czasach sprzed pierwszej wojny światowej zdobyć choćby najbardziej elementarną wiedzę w którejś z nielicznych szkół łódzkich. Jeśli jednemu z pięciorga czy sześciorga dzieci rodzinny proletariackiej udało się dostać do szkółki początkowej, uważano to wtedy za wielkie szczęście i błogosławieństwo niebios.

Nie bez wartości dla historyka czy socjologa, których interesują rzeczy łódzkie, są również dwa pozostałe opowiadania: tytułowa „Karuzela” i „Mason”. Pierwsze — to obrazki z życia dzieci dawnej Rokleńskiej ulicy; drugie jest odbiciem szczególnej „mitologii”, w której rolę półbogów i herosów grali... potentaci łódzkiego przemysłu.

*) Władysław Pawlak „Karuzela”, Łódź, „Wydawnictwo Łódzkie” 1959, str. 128.



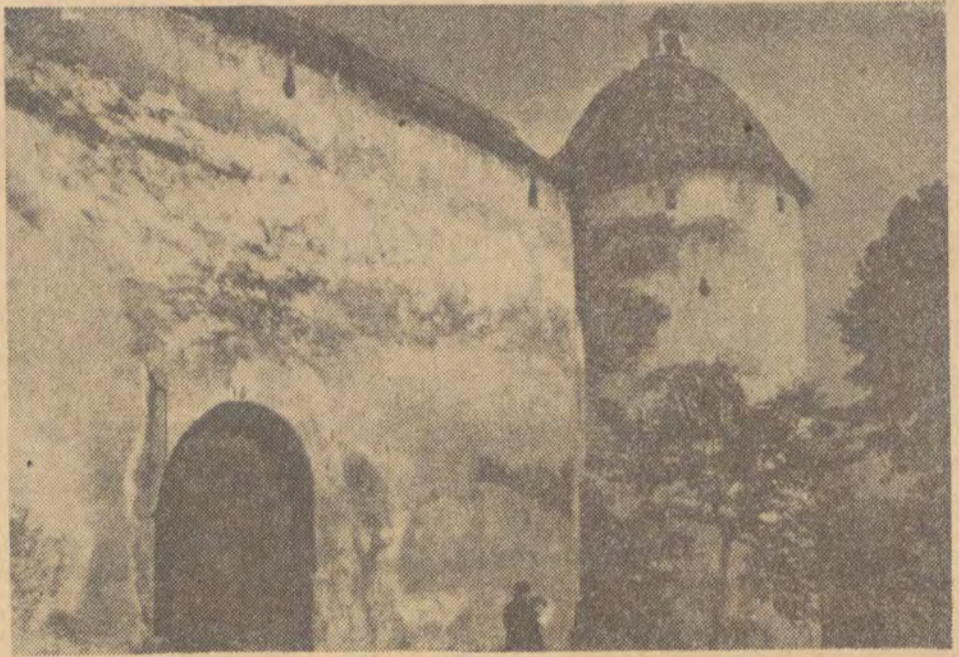
odgłosy str. 7



Studium mordercy

czyli

ZBRODZIA i KARA (II)



Stary Sącz, mur obronny z basztą, otaczający kościół i klasztor Klarysek.

ZYGMUNT FIJAS

W góry, w góry, miły bracie!

Wczoraj spiker przepowiedział przelotne epady... Przeżyliśmy jeden taki „przelotny opad”, trwało bez mała godzinę, przemieszało niebo z ziemią, ostrzelał góry salwami gromów i wziął kurs na Tylmanową i Szczawnicę. Za nim przyszedł drugi, najeżony lancami błyskawic, rozszroty jak tysiąc niedźwiedzi, ale wiatr zepchnął go za pasmo Radziejowej.

Nazajutrz było parno jak w łaźni. Na rynek w Łucku przybyła na koniach reprezentacja much całego Podhala i pozostała we wsi, doprowadzając nas swą działością do szwskiej pasji... Trzeba będzie ruszyć w głąb gór, bo zostaniemy wyszani przez te latające stworzenia...

Niebo jest zasnuwane chmurami; trochę się ochłodziło; pogoda w sam raz na dłuższe eskapady.

Sprawdzamy więc zawartość plecaka i chlebaków, jedziemy do Jazowskiej, przechodzimy na drugi brzeg Dunajca i wolno pniemy się ku hali na Przehybie...

Urzeczeni orgią drugo- i trzecioplanowych peizaży, z nozdrzami wypełnionymi zapachem dzikiej róży i macierzanki, wspinaamy się go dziesięciominutowym postojem ku chacie, przed którą stoi na pół skretyniały chłop, tak zwany „sietniok”, „berys” albo... „bejdok”; głowę ma dużą jak bohaterowie „Sanatorium Pod klepsydrą” Brunona Schulza; na zapytania odpowiada niezrozumiałym belkotem. Jest to jedna z licznych ofiar w tym terenie pozabawionych jodu i wody. Po dwu godzinach robimy odpoczynek. Śladamy na polanie, otoczonej wielopiętrowymi „choinkami”, na miękkiej jak dywan „psiarze”, patrzymy na kolującą pod chmurami jastrzębia.

Teraz rozumiemy, dlaczego ptaki przestały śpiewać... Za chwilę rozbójnik epadnie na grzbiet zająca albo kury i będzie jechał na nim tłukąc dziobem w łeb przerażonego zwierzęcia.

O godzinie drugiej jesteśmy na Skałce (1168 m). Tutaj zbiega się nasz zielony szlak z — czerwonym, łączącym Piwniczną, Rytro, Radziejową (1265 m), Przehybę (1195) z Dzwonkówką, Kroszcienkiem i — południowo-wschodnim ramieniem Gorców (Lubań).

Po godzinie spaceru jesteśmy w schronisku na hali na Przehybie. Ale źle trafił się. Schronisko może przyjąć 80 osób, kierownik realizuje zapłacone z góry zamówienia jeszcze z kwietnia, a tu wala ze wszystkich stron turystyczny wczasowicz, kolonista, harcerze, pojedyncze siwe górskie trampy i w nie kończących się utarczках słownych usiłują rozdrzeć na strzępy kierownika.

Szczęśliwój ci, co przyniesli z sobą namioty. Będą obo-

zowali na hali. Gorzej z tymi, co przybyli tylko z chlebakami i szczoneczkami do zębów. Będą się odgrazali krewnymi na wysokich stanowiskach dopóty, póki kierownik, po rozłożeniu w halu wszystkich kanadyjek, nie pozwoli im spać w jadalni na ławach albo wręcz na kocach na podłodze.

Prawie do północy załoga rozmieszcza wędrowców. Po północy kierownik musi zejść do Szczawnicy, aby podpisać plan na rok 1960 (bo urzędnicy nie mogą przedstawić planu jesienią, gdy ruch turystyczny jest słaby)... O godzinie trzeciej rano kierownik musi zrobić nową wybieżkę: z Szczawnicy do schroniska. I znowu przyjdą krewni krewnych na wysokich stawkach i będą go chcieli rozdziobać na drobny mak.

Ale tuż przed dziesiątą wieczór udaje nam się prze spać w 3-lóżkowym pokoju z widokiem na Pieniny i Tatry. (Zapewne dzięki delegacji, którą okazaliśmy na samym wstępie).

Śpiemy pod wspaniałymi ciepłymi koldrami, na jeszcze wspanialszych łóżkach, mając w brzuchach dobry turystyczny balast, złożony z obiadu za 17 złotych (pyszna zupa, „schaboszczak” duży jak talerz, kompot z wiśni), dużej prawdziwej „czarnej”, pięciu kanapek z masłem i bryndzą oraz trzech litrów wody sodowej z satu ratora po 1 zł 50 gr halbka. Przed oczyma mamy sfotografowany „Widok na Babią Górę z Orawy”, „Mogielińską z Łopienia”, „Bieszczadzki Smerek”, prawdziwe kaloryfery, za oknem zaś mamy morze lasów, spoza których o godzinie piątej wyłoni się klejnot Karpat, widoczne jak na dłoni, Tatry, z zaśnieżoną Łomnicą, Łodowym, Garluchem i Granatami.

Schronisko na Przehybie zaopatrują w żywność, węgiel i koks punkty zaopatrzenia w Starym i Nowym Sączu. Towary wyciągane są wyciągiem linowym z Gabonia... Wyciąg ten nie jest przystosowany do przewozu ludzi. Gdyby był i gdyby droga na odcinku Gabon-Gońkowiec została naprawiona, żeby po niej mogły jeździć autobusy PKS, turyści mogliby dojeżdżać ze Starego i Nowego Sącza do Skrudziny i dalej wyciągiem gabońskim byłiby podrzucani wprost do łóżek schroniska albo do ja dalni.

Jeśli nie wiecie, czym może być tak zwany eksperyment nowosądecki, to się dowiedziecie, gdy działalce Sądacznego, której „Dni” w tej chwili odbywają się, doprowadzą do tego, że będziecie jeździć z Dworca Kaliskiego na... Przehybę a z hali... do Szczawnicy będziecie schodzili po... schodach.

Oby tylko Warszawa nie odebrała PTTK wyciągu. Ale sądzę, że to się nie stanie. Nie stanie się, bo „eksperymentowi” i „Dniom Sądacznym” patronuje tarnowianin Premier Cyrankiewicz, więc nie pozwoli na nic brzydkiego, czyli na to, aby tak piękne schronisko nie miało swego zaplecza w sąsiadującym z tarnowskim, powiecie nowosądeckim.



Skalki na szlaku Stary Sącz — Przehyba. Fot. H. Hermanowicz

Mateusz zamieszkał w pięknej willi „Niespodzianka” w Szklarskiej Porębie. Wesoly, towarzyski szybko ujął sobie grono współtowarzyszy wczasów, a szczególnymi względami obdarzyła go pewna miła, filigranowa łodzianka pani Z. W przyjemnej atmosferze miał czas na flirte, spacerach i grze w brydża. Mateusz był świetnym brydzystą.

Przy końcu maja wesoly towarzysz zabaw opuszcza na kilka dni Szklarską Porębę. Wraca z dość dużym pakunkiem, w którym między innymi znajduje się... futro.

Tymczasem do Komendy Głównej MO w Warszawie nadchodzi meldunek o potwornym morderstwie w Łodzi. Denatkę znaleziono w tapczynie. Nazwisko: Halina Bucniska.

Morderca zbiegł w nieznanym kierunku. Na podłodze znaleziono te same ślady butów co i u Kulwiciów. Widocznie ta sama ręka zamordowała Buchalską. Poza tym w biurku zamordowanej znajdował się maleńki liścik, który posiadał niezmiernie znaczenie dla dalszego toku śledztwa. Poszlaki wskazują na pewnego młodego człowieka o niestandardnym miejscu zamieszkania.

Od 27 kwietnia do 3 czerwca pracownicy milicji przesłuchali ponad pół tysiąca osób. Powoli zarysowuje się sylwetka podejrzanego o ohydne morderstwo. Wiadomo również, że podejrzany nosi ciemną brodę. Wszyscy wywiadowcy otrzymali jego zdjęcie.

W „Grand Cafe” siedzi młody człowiek z brodką w dość liczny, rozbawiony gronie. Wtem podchodzi do niego nieznamy pan w jasnym płaszczu i dyskretnie zaprasza do wyjścia. Lewa ręka ciągle tkwi w kieszeni płaszcza. Młody człowiek zostaje skrupulatnie wylegitymowany, przepraszający gest i nieznamy w jasnym płaszczu znika.

Wielu młodych egzystencjalistów indagują nieznamy panowie ze znaczkami w kłopotliwej marynarki. Brodaci znaleźli się w niebezpieczeństwie.

Szef w Warszawie otrzymuje meldunek, że „najbardziej podejrzany” znajduje się obecnie gdzieś w okolicach Jeleniej Góry. W grę wchodzi Karpacz, Szklarska Poręba i Cieplice. Natychmiast pierwszym pospieszonym pociągami do Jeleniej Góry udaje się grupa operacyjna. Między nimi znajduje się „Iwo” znany postać wszystkich przestępców. Iwo ma opinię — zresztą uzasadnioną — najlepszego strzelca i najzgrabniejszego zakładnika. Jeszcze jeden drobiaz, Iwo chodzi w spodniach i jest uroczy piegowatą blondynką.

Wesoła rozbawiona trójka turystów przez trzy dni poszukuje miejsca w którymś z pensjonatów FWP. Niestety, w Karpaczu im się nie podobało, w Cieplicach również nie zagrali miejsca. Może w Szklarskiej Porębie będą mieli więcej

szczęścia. Wczoraj otrzymał meldunek: „prowadzić dyskretną obserwację stop nie aresztować stop” Nie ma obawy „szefie”. Na razie nie ma kogo aresztować.

Wczesnym rankiem udali się na śniadanie do baru mlecznego. Szybkie porozumiewawcze spojrzenia, tak to on, tam w rogu przy stoliku. Nareszcie... Moment zdenerwowania szybko minął.

Z łatwością ustalili dokąd „on” się udał, a po południu sympatyczny turyści zamieszkał w pensjonacie o dyskretniej nazwie „Niespodzianka”.

Wieczorem dwaj panowie towarzyszący piegowatej blondynce grali już z „nim” w brydża. I w prześwieconych humorach udali się do swych pokoi. Niestety, nie wszyscy tej nocy spali w „Niespodziance”. Następnego dnia zaraz od śniadania jeden z owych panów zapalony fotoamator przez cały dzień jak mógł i gdzie mógł gstrykał swej „piegowatej” zdjęcia. Poza tym w ciągu paru dni nie ciekawego się nie wydarzyło.

13 czerwca po południu Mateusz spakował walizki i udał się na dworzec. Odprowadzała go pani Z. Właśnie żegnał się czule, kiedy przed dworcem zajeżdżał milicyjny „cap”. Wysiadło z niego dwóch znajomych turystów. Czują scenę pożegnania przerwał błysk stalowych luf i sześć kajdannek zakładanych przez Iwo, która wyrosła natychmiast jak spod ziemi. Zimne dreszcze strachu przeszły nędy się po plecach Mateusza.

Następnego dnia prasa codzienna doniosła: „Niebezpieczny morderca Mateusz Mikita ujęty został przez organa MO”.

Rozkwietał „Przekroć” nazywał Mateusza Mikita Raskolnikowem. Było to piekielnie trafne i niebezpieczne. Rzeczywiście jeśli odrzemy Raskolnikowa z motywów psychologicznych i społecznych jako inspiracji jego czynów przedstawi się oczom naszym zwykły biedny student, który w celu zdobycia paru gramów złota zamordował dwie kobiety.

Dostojewski był wielkim pisarzem i jeszcze większym adwokatem. Tak wybronił swego klienta, że ten za swój czyn otrzymał tylko 10 lat katorgi i na trwałe wszedł do historii literatury. „Zbrodnia i kara” jest według mnie najgenialniejszym oszustwem psychologicznym w literaturze, albo najgenialniejszym oszustwem literackim w psychologii. A jednak najgenialniejszy...

Nie wiem czy Mateusz Mikita czytał „Zbrodnie i karę”. Wątpię. Może nie popełniłby wtedy tego ohydnych czynu. Narzuca się tu wiele analogii z Raskolnikowem. Choćby na przykład stronę techniczną zabójstwa małżeństwa Kulwiciów. Nie znamy i nie dowiemy się nigdy szczegółowych motywów psychologicznych, jakie skierowały Mikita na drogę tego krańcowego przestępstwa. Ze skąpych informacji, jakich udzielił, natychmiast po zatrzymaniu go przez wywiadowców wynika, że chciał w początkowym okre-

się „uszlachetnić” motywami swego postępowania i ukazać siebie jako ofiarę warunków społecznych, a czyn swój przedstawić jako protest przeciwko tym warunkom. Kiedy jednak udowodniono mu również zabójstwo Buchalskiej, wówczas zamknął się w sobie, nie zdołano wydobyć z niego aż do końca ani jednego słowa.

Niewątpliwie proces Mikity był swego rodzaju ewenementem, właśnie poprzez swą prostotę i brak jakiegokolwiek komplikacji. Wszystko z góry było wszystkim wiadome. Proces odbywał się w trybie doraźnym, a oskarżycielem publicznym był ten sam prokurator, który oskarżał Paramonowa — mecenas mgr. Ryszard Zalewski.

Pisząc „wszystko” mam na myśli również i oskarżonego, który chyba jak żaden z przestępców zdawał sobie sprawę ze siłowności swego winy, z jej bezsporności i z kary jaka go czeka. I tu tkwi istota sprawy, dla której w ogóle zdecydowałem się pisać na ten temat.

Cała prasa codzienna cytowała słowa, jakie wypowiedział Mikita na wstępie procesu: „Objętne mi jest, jakim torem potoczy się proces i wobec tego w czasie przewodu sądowego nie będę odpowiadał na żadne pytania ani udzielał wyjaśnień. Czekam jedynie na słuszny wyrok prawa — karę śmierci”.

Słowa te swym okrucieństwem i desperacją poza muszą zaniepokoić każdego humanistę. Jest to jakiś kilniczny przypadek mordercy wytrawionego z wszelkich ludzkich uczuć. W ciągu dwu dni procesu Mikita ani razu nie dał poznać po sobie jakiegos żalu lub skruchy, złości, zdenerwowania, strachu czy rozpacz. Siedział z kamienną twarzą, błądząc, zaciskając wąskie usta. W czasie przerwy zapalał papierosa. Żywy trup. Nawet kiedy prokurator odczytywał list od jego matki, w którym ta pisze o zawiedzionych nadziejach, jakie pokładała w swym dziecku, nie drgnął żaden muskuł na jego kamiennej fizjonomii. Nie drgnął również kiedy odczytywano mu wyrok: „Trzy razy kara śmierci i pozbawienie wszelkich praw honorowych i obywatelskich na zawsze”.

W ten sposób usunięty został poza nawias ludzkiej społeczności w sensie moralnym i fizycznym groźny morderca, reprezentujący rzadko spotykany typ przestępcy. PRZESTĘPCY BEZ JAKICHKOLWIEK OKOLICZNOŚCI ŁAGODZACYCH.



str 8 odgłosy

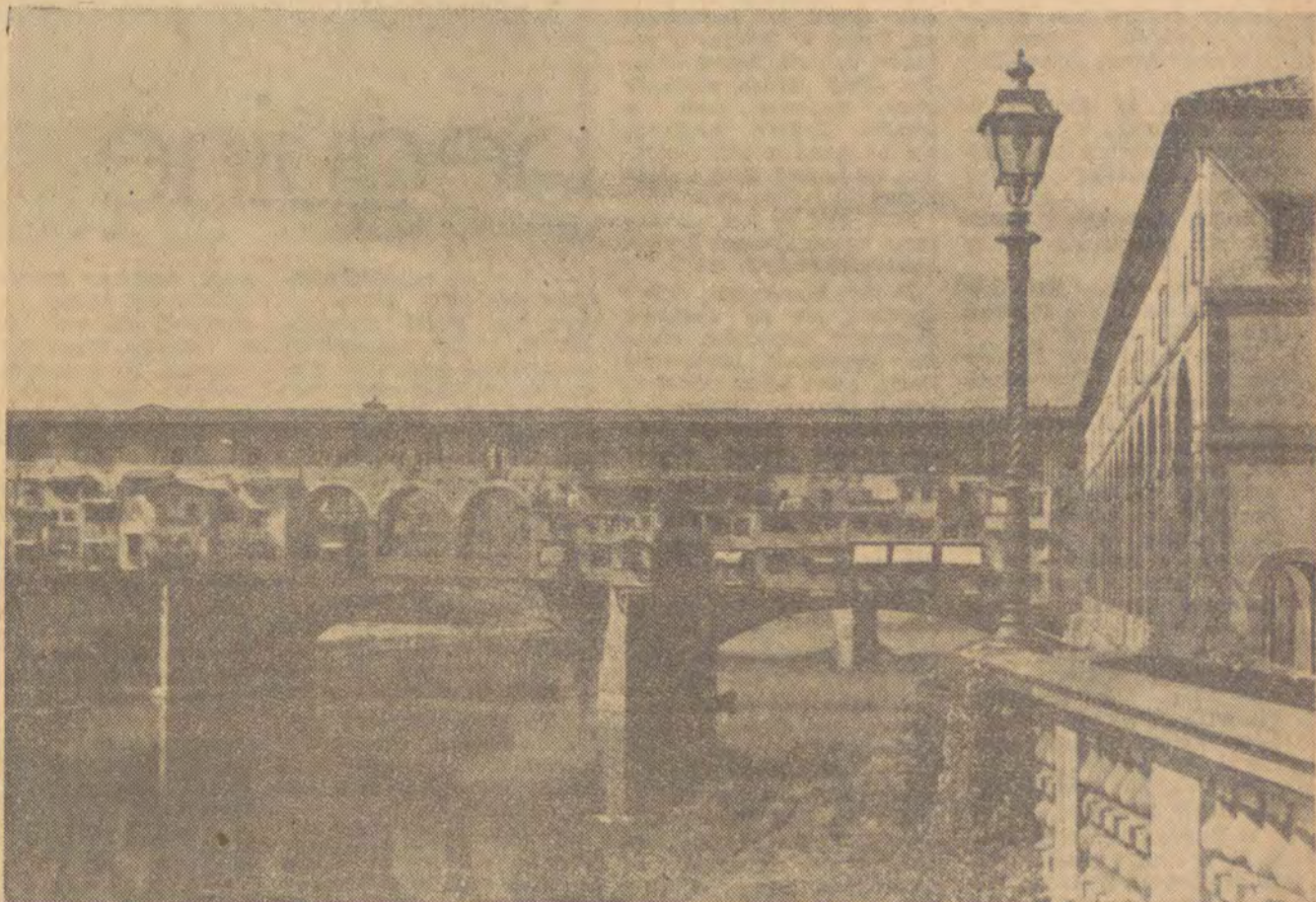
GDYBY ISTNIAŁ PAN
BÓG — MIESZKAŁ-
BY WE FLORENCJI.

Tak mówią ci, którzy są w tym mieście zakochani i dają mu palmę pierwszeństwa spośród wszystkich innych miast włoskich. Ale wybór jest zaiste trudny i zdania tak podzielone, jak na wyborach Miss Polonii.

Z pewnością jednak Florencja jest tym miastem, które najwięcej wniosło do skarbnicy włoskiej kultury. Tu tworzyli Leonardo da Vinci, Michał Aniol, Verrocchio, Botticelli, Giotto i plejada innych. Tu pisali Dante, Petrarca, Boccaccio, Machiavelli. Ich zasługą jest, że narzecze tokańskie stało się językiem urzędowym Italii.

Florencja jest rzeczywiście cudnym miastem. Tak cudnym, że nie dowierzając sile pióra naszego, zawierzylimy obiektywowi naszego aparatu. Popatrzcie na zdjęcia i osądźcie sami.

FLORENCJA



▲
Ponte Vecchio na rzece Arno dźwiga ciężar zabytkowych kamieniczek. W nich najwspanialsze pracownie jubilerskie.

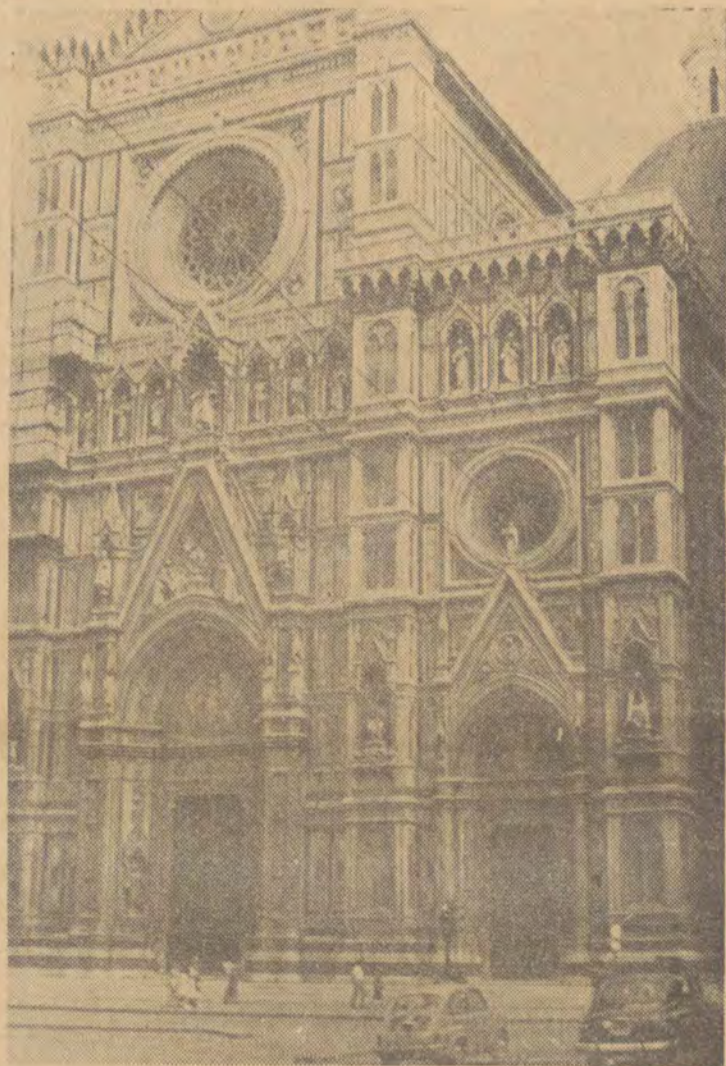
Katedra florencka ze słynną kopułą Brunelleschi — szczyt finezji architektonicznej, duma mieszkańców słonecznej Florencji.



▲
Gołębie są wszędzie, ale najwięcej ich na placu Segnority.

▲
Nie tylko w marmurowych salach muzealnych można spotkać się oko w oko ze sztuką. Na wolnym powietrzu, przy Piazza della Segnorita, syćć można oczy pięknymi rzeźbami.

▲
**TEKST i ZDJĘCIA
JERZY
DAGOBERT**



▲
Perspektywa Loggii z widokiem na wieżę florenckiego ratusza (Palazzo Vecchio). Po prawej stronie wejście do słynnej Gallerii Uffici.



Przez cały dzień deszcz śpią obrzydliwie, teraz, o zmierzchu leje. Ciekawe, czy przy takiej pogodzie pies z kulawą nogą zawita do przybytku kultury?

W hallu Eldeku tłok i gwar. Duszą ubrania i fryzury parują. Bez wyjątku młodzież. Twarze z „deptaku“ przed Grand-Hotelem.

Wędrują za tłumem w głąb korytarza. Z sali kolumnowej słychać jazz. Odchodzi „rokendrol“. Nic tu po mnie.

Nagle nad zgłębł powieszony wybija się mocny głos:

— Panowie! Jesteście dżentelmenami, nie trzymać rąk w kieszeniach!

Około setki par kolebie się w ścisisku. Przeważają dwudziestolatki. Stroje różne, ale raczej schludne. Wyprasowane sukienki i spodnie, sporo białych koszul, krawaty. Uczesania „prekrojowe“ — na kretynka, na simonkę, na dmuchaną grzywkę, w koński ogon.

— A teraz — grzmi przez mikrofon wysoki, smukły pan — rozdamy nagrody za konkurs piosenkarski.

Falowanie ustaje.

Jury nie przyznało pierwszej nagrody. Wolna biletu wstępu na nasze wieczorki otrzymują.

Nazwisk nie dosłyszałem, zagłuszyły oklaski.

— Co się tu dawniej działo — opowiada opiekun sali. — Przynosił wódkę, bili się, tłukli szyby, wyrwali drzwi z zawiasów. Ale utemperowali się. Za przyzniesienie alkoholu wylewaliśmy raz na zawsze. Pomogli. Mają dobrą orkiestrę, bufet — oczywiście bezalkoholowy — tani wstęp, atrakcje...

Przerzywa, podchodzi do mikrofonu.

— Koledzy odprowadzają koleżanki na miejsce i ładnie dziękują. A teraz zaśpiewa koleżanka Jadzia.

— Uczymy ich manier — wraca do rozmowy. — Jak pan widzi, raczej ze skutkiem. Czasem opowiadam im także swoje doświadczenia z praktyki zawodowej.

Pan Władysław Kłos, opiekun sali i wodzirej, jest w przerwach od społeczniczości aspirantem sądowym.

Istotnie, młodzieńcy kłamią się szarmancko. Tylko w kącie sali, gdzie argusowe oko nie sięga, facet „podrywa“ partnerkę. Zaloty z epoki jurajskiej mają także swój urok.

Wyciągam na słówka gości. Przyjeżdżają z Bałut, z Chojen, nawet spoza miasta. O, teraz jest luźno, stwierdzają, w zimie to dopiero tłok.

Pan Marian Golan, z zawodu cukiernik i klarneckista, pan Jan Pietrzak, tancerz, pani Maria Wieckowska, obecnie „przy mamie“ — powtarzają to samo. Lubią się tutaj bawić, bo jest wesoło, a nie ma awantur. To ważne. Starają się być na każdym wieczorku, trzy razy w tygodniu. Na innych imprezach nie bywają.

— Tańczymy beguinę — zapowiada kierownik — koleżanki proszą kolegów...

Na drugim piętrze bawią się również. Klub Tańca Towarzystwa urzędników zapoznawczy dla nowych członków.

Zbliża się dziesiąta wieczór. Biura już pozamykane. Tylko w jednym z pokojów pali się jeszcze światło. Przy kilku stolikach starsi panowie grają w brydża. Kończą, rozliczają się na hazard, bez pieniędzy, bo hazard tutaj wzbroniony.

Hm? Jak to jest z realizacją hasła: „Polska krajem ludzi kształcących się“?

Młody maturzysta, który wyróżnił się na wystawie plastyków amatorów, zdradza wyjątkową ignorancję. Dama, która brała udział w kursie plastyki użytkowej i produkowała zupełnie ładne, modne broszki, psoczy na Picassa. Absolwent Wiedzy o Sztuce na tutejszym Uniwersytecie Powszechnym nauczył się pogardy dla sztuki nowoczesnej. Jak to jest?

Czekam na kierownika działu upowszechniania. Są teraz wprawdzie wakacje, ale lada chwila ma nadejść.

— Może pan zajrzy tymczasem na trzecie piętro. Odbywa się popis kursu gry na akordeonie oraz instrumentach szarpanych.

Gra dziecięcy kwartet akordeonistów. Małeńka dziewczynka, najmłodsza ze wszystkich, patrzy w nuty z tak zabawnym przerażeniem, jakby miał stamtąd wyskoczyć smok.

Występuje młodzieniec w wieku chuligańskim. Gra biegle, ale z trzęsą. Na nikogo nie patrzy; może by się rozplakał?

By dojechać na zajęcia, dochodzi do Rogowa cztery kilometry piechotą.

Koncert trwa. Samych akordeonistów jest sześćdziesięciu.

Na początku roku zgłosiło się sześćset kandydatów — informuje dyrektor Wojciechowski. — Z żalem musieliśmy odmawiać. Mamy również kłopot z instrumentami. Proszę sobie wyobrazić, jaki problem dla robotnika stanowi zakup akordeonu. Przy tych cenach.

No tak. Widzieliśmy już konflikt: upowszechnienie — fasadowość. Jest i drugi, nieantagonistyczny: upowszechnienie kontra rentowność kultury.

Mgr Koliński, kierownik Działu Upowszechniania zaciąga mnie na górę. Oglądam pomoce naukowe, dokumenty, ankiety.

— Uniwersytet Powszechny nie przyjął się. Myśleliśmy o młodzieży robotniczej, a przychodzili ludzie starsi, emeryci. Dla wielu wiedza bez papierka to luksus. Nie zawiódł tylko kurs prawa — uczęszczało sporo aktywistów związkowych. Również odczyty o tematyce prawnej cieszyły się powodzeniem, zwłaszcza gdy była mowa o rozwodach lub odpowiedzialności rodziców za przestępstwa nieletnich.

HENRYK ANDERS

Tańczymy beguinę

— Spotkań autorskich unikaliśmy. Nie biorą. A przy tym jakieś pretensje. Pewien literat domagał się na przykład całej serii wieczorów dla omówienia jednej książki. Tyle spotkań, ile rozdziałów. Czy nie przesada? Popularyzujemy literaturę przez „Kabaret literacki“.

Coś tu nie gra. Gdzie indziej spotkania autorskie bywają i atrakcją dla publiczności i najlepszą popularyzacją sztuki. Oczywiście łatwiej ściągnąć słuchaczy na lep głośnych nazwisk, egzotyki lub humoru. Ale...

Ktoś puka. Wchodzi mgr inż. Stanisław Pijanowski, kierownik Amatorskiego Klubu Filmowego. Słuchajmy, słuchajmy!

W Warszawie, w Krakowie, w Katowicach działa po kilka klubów z imponującą ilością członków. W Łodzi aktywnych jest tylko szesnastu, choć przewinęło się w ciągu 5 lat ponad dwieście osób. Gorzej, że i ci aktywni nie zawsze odznaczają się systematycznością. Zaczynają i nie kończą. Dlatego nakreślił dotąd tylko dwadzieścia filmów krótkometrażowych. Może teraz będzie lepiej, gdy otrzymali nareszcie niezły sprzęt.

Najwięcej zgłasza się tutaj studentów, którzy pragną zdać egzamin do Szkoły Filmowej. I często zdają, bo przechodzi się tutaj porządne przeszkolenie teoretyczne i praktyczne. Ale przecież klub nie jest kursem przygotowawczym do WSF.

— Podobne perypetie — wtrąca pan Koliński — mamy z fotoamatorami. Przyjeżdżają nawet z odległych okolic, żeby nauczyć się dodatkowego fachu. Słyszałem o kimś, kto po naszym kursie założył pod Radomskiem zakonspirowany zakład fotograficzny. Wbrew naszym intencjom ruch amatorski przekształca się w szkolenie zawodowe.

— Jeszcze jeden przykład — kontynuuje. — Jako nową formę pracy zorganizowaliśmy „Studium krasomówstwa“ dla aktywistów społecznych. Wiadomo przecież, jakie posiadają umiejętności retoryczne. Ale na pięćdziesięciu uczestników, początkowo zgłosiło się siedemdziesięciu, działaczy tych było tylko dwóch. Studium zaanektowali prawnicy.

Przeglądam ankiety. Więk-

szość słuchaczy podała wykształcenie wyższe. Resztę stanowili studenci, biuraliści, technicy. Sporo było nauczycieli, co zrozumiałe, ale zdumiała mnie duża liczba księgowych. Na chybił-trafił wynotowałem jedno nazwisko.

Mówi pani Jadwiga Kolańska, radca prawny.

— Zgłosiłam się, bo czułam lukę w wykształceniu. Mieliszy wykłady z literatury, psychologii, logiki, zajęcia praktyczne z dykcji. Tego na studiach nie przerabialiśmy. Kurs był ogromnie przyjemny i naprawdę

dużo skorzystałam. Nie ja jedna. Najlepszy dowód, że kilkanaście osób uprosiło jednego z wykładowców, aktora, pana Tylczyńskiego, o dalsze prywatne lekcje. Chętnych byłoby więcej, gdyby nie koszty.

— Dlaczego zapisało się tylu księgowych? Myśle, że nie lubili swego zawodu, szukali w życiu jeszcze czegoś. Mówiła mi koleżanka, młoda panią, że przyszła, bo nie znosiła swej pracy, a teraz po kursie ma szansę ją zmienić.

Otóż to. Polska krajem kształcących się, ale nie bezinteresownie. Ruch amatorski, ale z podtekstem, jako zamierzona odskocznia kariery. Może tak być powinno, lecz gdzieś z „dna podświadomości“ przebiega znany motyw: „Śmierć frajerom!“

Miał być reportaż zupełnie inny. Przez cały czas chodziłem tropami awansu społecznego, socjalistycznej wersji bajki o kopciuszku. Szukałem człowieka, najzwyczajszego prostaczka, który trafił do Eldeku i tu, dzięki własnej pracy i pomocy środowiska, wyrósł. Niestety, nie znalazłem. Model był zbyt utopijny.

Rozmawiałem z wieloma ludźmi. Niektórzy powybijali się, a wszyscy byli bardzo zadowoleni z siebie i z tego, co daje im klub. Tylko, że... wymagania nie były wygórowane, a zainteresowania wąskie. To smutne.

Okazuje się, że wielka, precyzyjna machina, jaką jest Łódzki Dom Kultury, wyrabia jedynie normy. Nic więcej.

Ale dlaczego? Dlaczego nie wystarcza ofiarności ani inwencja organizatorska personelu? Dlaczego w Złotej Księdze można wysłędzić wizyty wybitnych cudzoziemców i wyróżnienia za imprezy, a nie widać zwykłej, codziennej pracy, realnej przecież troski o człowieka?

Przylega do Eldeku placik przewidywany pod przyszłą rozbudowę gmachu, który — choć niemały — jest dla Łodzi zbyt ciasny. Ale godni planiści miejscy umyśliли zbudować tu bar samoobsługowy. Ze to centrum, blisko dworca, itede. Ile trzeba było interwencji, by obalić niewczesny pomysł.

Czy to czasem nie wyjaśnia wszystkiego?



Fot. Gerard Pucielto

W ŁÓDZKICH BLOKACH na Bednarskiej

Odnaczona nagrodą m. st. Warszawy w bieżącym roku za twórczość dla dzieci i młodzieży Hanna Ożogowska

wydala dziewiątą książkę, powieść pod tytułem „Tajemnica zielonej pieczęci“. W bogatym dorobku utalentowanej i zasłużonej pisarki nie jest to pierwszy utwór z akcją umiejscowioną w Łodzi, którą Hanna Ożogowska opuściła w ubiegłym roku. Popularni „Uczniowie III klasy“ i „Na Karłowickiej“ (też powieści doczekały się

już trzeciego wydania) — również miały za tło akcji powieściowej stolicę włókienniczą. W Łodzi też, w blokach na Bednarskiej, rozgrywa się losy trzech głównych bohaterów „Tajemnicy zielonej pieczęci“ Stefana Żorawca, Wiktora Kijanki i Bartka Niedźwiedźkiego oraz ich kolegów i koleżanek.

Pomimo że „Tajemnica“ ma niejednoletnią, rozbudowaną akcję i tworzy raczej szereg interesujących opowiadań związanych z osobami trzech głównych bohaterów, powieść czyta się z dużym zainteresowaniem. Sądzę, że „Tajemnica“ poczytności utworów Ożogowskiej polega na autentyczności (bardzo to modne dziś pojęcie!) doświadczeń, jakie pisarka wniosła z pracy pedagogicznej, na znajomość mło-

dzieży i na swoisty, jawialny humor, z jakim autorka podchodzi do swych młodych bohaterów.

Ponadto, żadna z postaci powieściowych nie „szleści papierem“, każda jest solidnie podbudowana życiem rodzinnym i wyróżnia się zwykle jakąś zabawną cechą charakterystyczną. Czegoż trzeba więcej, żeby gromadę zindywidualizowanych dziewcząt i chłopców puścić w ruch na scenie powieściowej i dać obraz młodzieży w szkole i w domu, młodzieży z jej radościami i smutkami, a nieraz i młodzięciami „tragediami“.

Trzeba również zapisać na dobro pisarki, że oprócz interesującej lektury, wysuwa niepostrzeżenie dla swych młodych czytelników

— naukę i przykład, wzór postępowania w życiu. „Tajemnica zielonej pieczęci“ obok wielu elementów poznawczych, pożytecznych dla młodzieży w zakresie jej pracy w szkole (prawo Archimedeasa, ortografia, anegdota o sławnych ludziach) zawiera wplecione umiejętnie w dialog i akcję wskazówki i zalecenia, jak powinien być stosunek do rodziców, do wychowawców, do kolegów itp.

„Męskie“ niedziele, w czasie których ojciec i syn wyrażają niewiasty w pracach domowych, pomoc, jaką chłopcy okazują matce w domu itp., wszystko to stwarza atmosferę obyczajowego, kłopotliwego, klimat charakterystyczny dla pewnych warstw społecznych Łodzi, a jednocześnie spełnia funk-

cję pedagogiczną. Przy tym okazuje się, że codzienność szkolna i domowa mogą być interesującym materiałem powieściowym, o czym skłonni jesteśmy zapominać z braku wciąż tak potrzebnej, dobrej, współczesnej powieści obyczajowej.

Obok tej „codzienności“ snuje Ożogowska w „Tajemnicy“ sensacyjną niemal intrygę konspiracji uczniowskiej w łódzkich płóciach na Bednarskiej.

Przypuszczam, że młodzi czytelnicy książki o młodzieży łódzkiej z ulicy Bednarskiej będą czytać tę powieść z wypiekami na twarzach i bitem serc niepokojnych o losy bohaterów.

ARYSTARCH

Miejszani

pod redakcją JANA HUSZCZY

Dlaczego nic nie robię, czyli o rodakach

Nie narażam się nikomu i przeważnie siedzę w domu.

Postępuję tak jedynie z troski o dobrą opinię.

Nie peham się na stanowiska, by opinii zlej nie zyskać,

bowiem krzykną wnet rodacy, że kariery chcę, nie pracy!

Gdy gdzieś widzę nadużycie, nie ujawniam, lecz kinę skrycie,

gdyż inaczej przyjaciele nazwą mnie donosicielem.

Ze mam dość pokaźną postać, raz prezesem miałem zostać.

Zwiąłem, bojąc się posądzeń o zaszczytów wścieklą żądzę.

Nie układam wierszy wcale, no, bo a nuż, coś pochwałę?!

Każdy na mnie palcem wskaże, żem się stał wazelinierzem.

Postępuję tak jedynie z troski o dobrą opinię.

myślę sobie, że pochwały będą mi się należały...

Wczoraj słyszę ze zdumieniem, jakim to ja jestem leniem!

Dyskusja

Dyskusje na tematy związane z literaturą nawet i w Papierowej Górze cieszą się niejakim powodzeniem. Ostatnio zorganizowałem tam towarzyskie spotkanie, na którym zagalłem rozmowę o debiucie powieściowym Małgorzaty Drużdż pt. „Łój jemy o świecie”...

Trochę książkę pochwalłem, a trochę zganilem — aby wytoniły się przeciwstawne stanowiska.

Pospąpy się uwagi... Mgr. Burattini, Dziadzia Sochata i Filip Horeszko zauważyli, iż powieść zawiera duży ładunek pesymizmu z egzystencjalistyczną zakwaską.

Użyńska, nie prosząc o głos, krzyknęła: „Książka jest poniżej potocznej wiedzy o rzeczywistości! Deprecjonuje ją poza tym zbyt jaskrawa zależność od Steinbecka!”

Goncz i Purpacka sprzeciwili się, oświadczając: „Trzeba uszanować głos idącego pokolenia! Nawet, jeżeli to nie jest głos mile dla nas brzmiący”...

Danasówna zarzuciła debiutowi brak filozoficznego uogólnienia.

Chwedko zganiał styl, wynikający z zacieranania różnic między mową pozornie zależną i niezależną. „Zaluję — dowodził Chwedko — iż nie mam omawianej książki pod ręką, aby wskazać konkretne przykłady na poparcie tezy”...

— Nie potrafiłby tego kolega



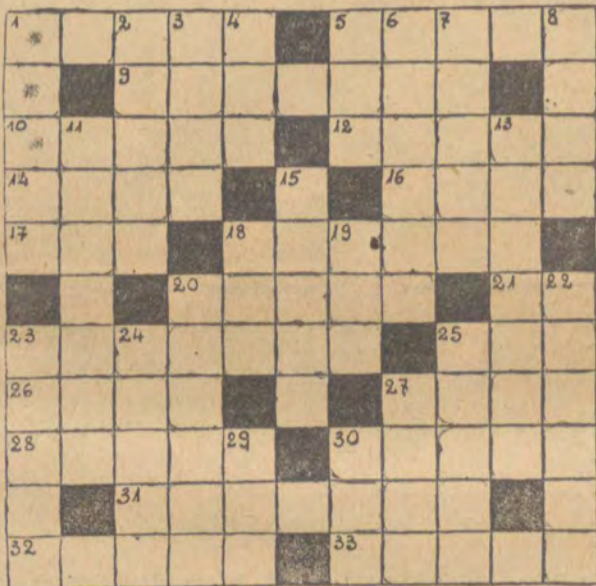
Przegląd prasy

„Tygodnik mód i powieści” z 1887 roku w notatce pod tytułem „Dwie świečky” donosi:

„W tych dniach hrabina Paryża, po niejednokrotnych niesnaskach ze świecką swą córką, królową portugalską, opuściła Lizbonę. Etykieta wymagała aby władcy ni kraju odprowadziła dostojnego gościa na dworzec kolejowy. Aby tedy uniemożliwić wszelkie czułe zbliżenie się podczas sceny pożegnawczej, obie panie zapatrzyły się w dwa wielkie, otwarte parasolki, których obwód pozwolił zaledwie na podanie sobie końców palców, w odległości czterech kroków. Manewr ten przeprowadzony został konsekwentnie do końca: hrabina Paryża z otwartym parasolkiem wsiadła do wagonu, a królowa portugalska zamknęła swój dopiero gdy pociąg ruszył. Dla wtajemniczonych strategiczny wybieg dwóch świek był w zupełności zrozumiałym”.



Nasza krzyżówka



Pozłomo.

Pionowo.

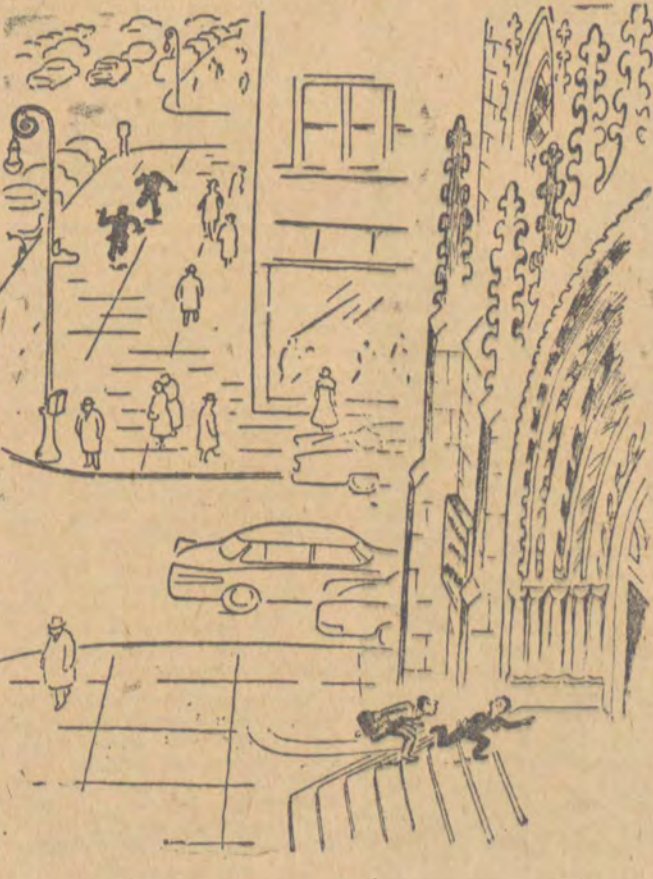
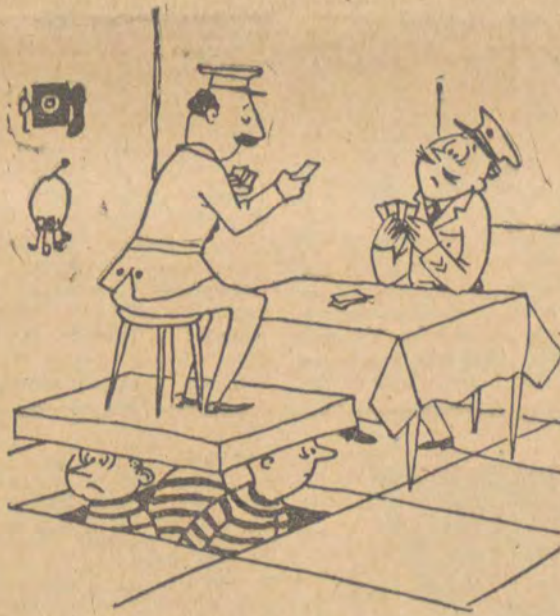
1. Duże naczynie do gotowania, kocioł. 5. Szkolna izba. 9. Przyjaciel Pyladesa. 10. Mierzy i wskazuje czas. 12. Słowo ze znanego hasła niemieckiego: „Drang nach...”. 14. Cztery mendle (wspsk). 16. Cyfra. 17. Gramodrobina. 18. Wyspa portugalska na zachodnim wybrzeżu Afryki (liczba mn.). 20. Imię męskie. 21. Intelejta autora powieści „Wojna i pokój”. 23. Kobieta lecząca z zawodu. 25. Wiosenny żywioł. 26. Obromowanie. 27. Uczeń, wychowanek. 28. Dreczciel, człowiek okrutny. 30. Część stearynu. 31. Ubogi chłop w dawnej Polsce. 32. Naturalna ozdoba rośliny. 33. Pierwiastek chemiczny mający zastosowanie w medycynie.

1. W przenośni: klucz otwierający tajniki. 2. Autor powieści „Martwe dusze”. 3. Mocny napój spirytusowy. 4. Prawy dopływ Warty. 5. Pytajnik mianownika. 6. Imię męskie. 7. Jesienny kwiat ogrodowy. 8. Rzeka we Włoszech uchodząca do Morza Tyrreńskiego. 9. Naramienniki. 10. Państwo autonomiczne nad Morzem Czarnym. 11. Sto fenigów. 12. „Pokój” w języku rosyjskim. 13. „Bogini” — w jez. martwym. 14. Forma wiersza, rymowana prozą z wstawkami wierszowymi. 15. Ssak mór arktycznych z rzędu waleni, którego samiec posiada ząb do 3 metrów długości (wspak). 16. Topy. 17. Zamknięcia butelek. 18. Nieprzymiennosc z atramentu. 19. Srodek usypiający. 20. Służy do łączenia części metalowych. 21. Sto (liczba mnoga).

Rozwiązania prosimy przysyłać na adres Redakcji „Odgłosów”, Łódź, Piotrkowska 96.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Czyje to rysunki?



KĄCIK CZTERECH KÓŁEK

Statystyka zza kierownicy

Ostatni dzień lipca br. godz. 17.00, miejsce obserwacji — ruchliwy odcinek drogi na autostradzie pod Łodzią. W ciągu 30 minut przejechało w tym miejscu w kierunku Warszawy — 63 samochody; z tego 8 Skoda-Octavia, 7 Syren, 3 Mikrusy, 23 Warszawy, 10 Starów ciężarowych, 3 wozy zagraniczne (Opel, Renault i nierozpoznany wóz angielski), 4 DKW (dawny model), 2 Fiaty 600, 2 Warthburgi, 1 Chevrolet. Pięć wozów prowadziły kobiety, 15 samochodów jechało z szybkością ponad 45 km na godz.

12 samochodów miało szybkość ponad 90 km. 1 wóz jechał „setką”, pozostałe w granicach 80 km. (1)

Polski Mikrus ma konkurenta w postaci nowego modelu samochodu produkcyj radzieckiej, który otrzymał nazwę „Zaporożec”. Z pierwszych wiadomości wynika, iż radziecki mikro-samochód jest małą rewelacją na rynku światowym. Na razie wyszły prototypy, myśmy widzieli zdjęcia — pokazujące ładną linie karoserii. Ciężar wozu radzieckiego około 600 kg. (1)

W USA stają się modne samochody o mniejszym litrażu. Wielkie „krajowniki szos” — już się przejadły Amerykanom. Stąd duże zainteresowanie europejską produkcją. Stołca przemysłu samochodowego w Ameryce — Detroit chce stworzyć konkurencję rynkowi europejskiemu, tylko jak tu pogodzić przyzwyczajenie do komfortu jazdy wielkich szybkości i przyspieszeń z mniejszymi kształtami i lekkością. Kaiser-Aluminum twierdzi, że dokonanie tego można tylko przez użycie do budowy nadwozi metali lekkich. A co ze sprawą bezpieczeństwa? (1)

Popularny aktor telewizyjny i filmowy Leon Niemczyk (jak na razie mieszka w Łodzi) miał zamiar kupić sobie samochód, ale nie wiedział jaki. Poradził się więc Czytelników internetnego tygodnika „Motor”. Otrzymał ponad 100 listów z których droga plebiscytu wynikało że powinien jeździć „Spartakiem”. No i jeździł! (1)

Termin nadsyłania odpowiedzi do dnia 23 sierpnia br. Pomiędzy uczestników naszego Konkursu rysunkowego, którzy nadesłali trafne odpowiedzi, zostaną rozlosowane nagrody książkowe

Redakcja Zespół C Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” C Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 214-79 C Wzrostki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł kwartalnie 12,- zł C Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca C Prenumerata przysyła wszystkie płatności pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17, z 2445, VIII.59 S-9



Hollywood jakiego nie znamy

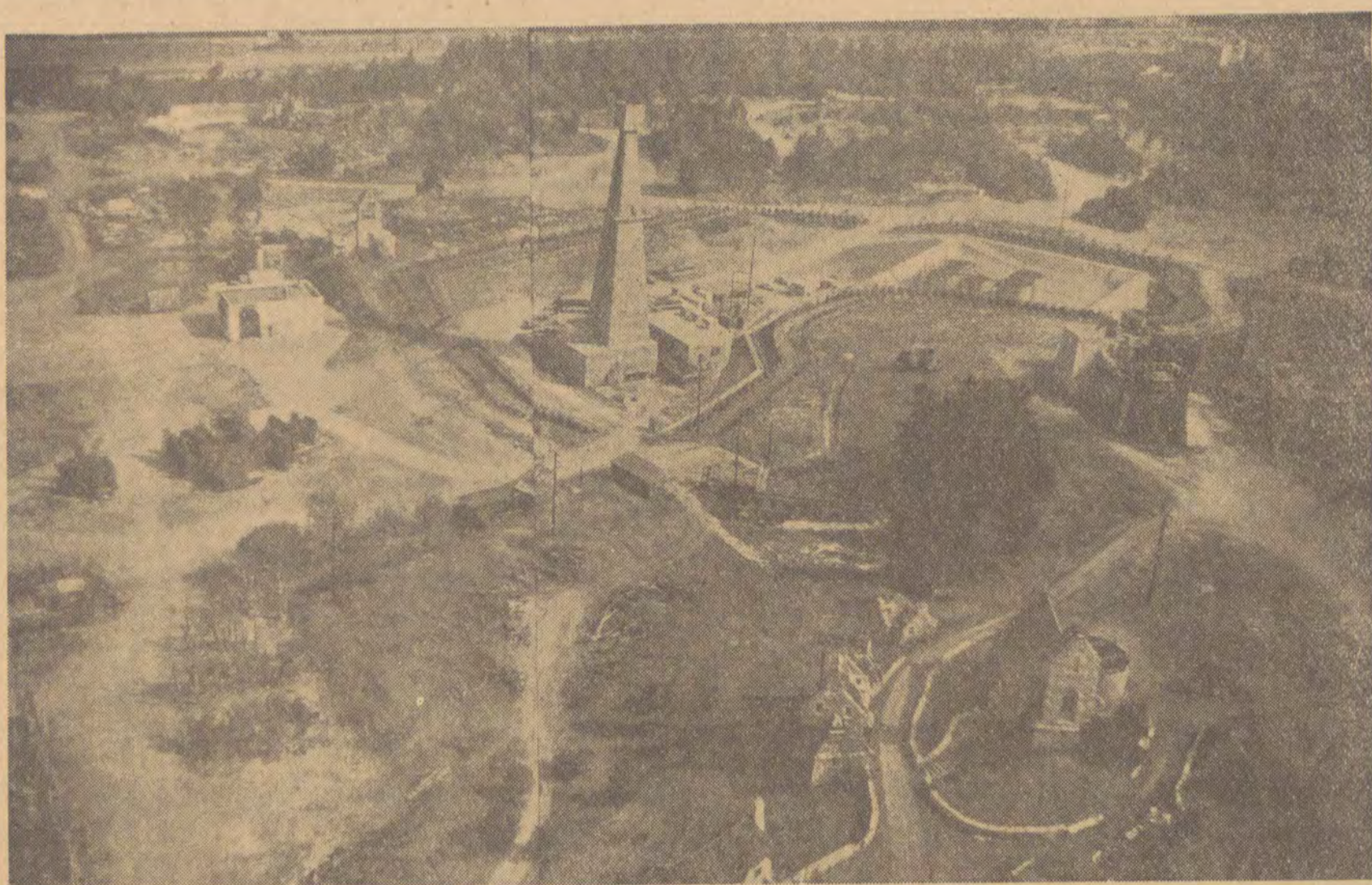
Mister Peck jest człowiekiem interesu na wielką skalę, chociaż handluje tylko iluzjami. Jako Gregor Pecka znamy go z „Rzymskich wakacji”, ale to nie szeregowy aktor, to jednocześnie prezes i dyrektor wytwórni „Melville”. Przebywając w swej pysznej rezydencji w Beverly Hills, dzieli cenny czas między biurko, a prywatny basen kąpielowy.

Takich prezesów i gwiazdorów w jednej osobie jest w Hollywood więcej — Gary Cooper, William Holden, James Stewart, John Wayne, Fred Astaire, by wymienić tylko najbardziej popularnych. Znamienny znk czasu, bo nie chodzi tu tylko o potrzebę stabilizacji swego życia, czy też o uniezależnienie się od „reklonów” produkcji. Od dziesięciu lat filmowcy chorują na głód respektu, a w społeczeństwie amerykańskim z zasady najbardziej respektowana osobistością jest finansista.

Ma to swoje dobre strony — zabezpiecza przed niespodziankami. Wszyscy pamiętają i śmieją się z przykrych przygody jaka miał William Holden z wielką wytwórnią „Columbia”. Podpisując kontrakt na „Most na rzecę Kwaj” zażądał, by honorarium wypłacano mu w ratach rocznych po 50 tysięcy dolarów. Uczynił to z obawy przed progresją podatkową. Później okazało się, że honorarium to wynosi dwa i pół miliona dolarów. „Columbia” płacić będzie przez 50 lat, ale gdyby Holden otrzymał całą sumę i złożył na procent, miałby trzy razy tyle. Grał więc za darmo.

Tak więc rozmnożyły się małe „studia” i z konieczności wzrosło znaczenie wszelkiego typu radców finansowych, oni dziś nadają ton w Hollywood.

Do tych, jak ich nazywają, „respectables” przylączyła się po przyjeździe do Ameryki Gina Lollobrigida. W związku z tym spotkała ją mała despekt. Jak wiadomo jej partnerem w filmie „Niedziela rano” („Never so few”) jest Frank Sinatra. Ode Gina wydała dla nowych przyjaciół — nie liczy się do nich Sophia Loren — przyjęcie u Romanoffa. Przy-



padkiem Sinatra przebywał w tym samym lokalu. Gina posłała mu bilceik zapraszający, ale kategorycznie odmówił. „On się dzisiaj bawi”.

Sinatra bowiem jest przywódcą ugrupowania konkurencyjnego, tak zwanego „klanu”. Klanisci — należą do nich najbardziej wzięci aktorzy i reżyserzy — nie chcą być biznesmenami, uważają się za ludzi sztuki”. W odróżnieniu od solidnych „respectables” późno chodzą spać i późno wstają, dużo piją, spędzają czas na nie kończących się dyskusjach. Jak to intelektualisci. Jako znak szczególności noszą do stroju wieczorowego aksamitne panfony i haftowanymi monogramami. Nie uznają też nowych czarnych Cadillaców, jeżdżą tylko samochodami włoskich marek.

Obu tym ugrupowaniom przeciwstawia się „nowy prad” — ci, młodszy, którzy wierzą jeszcze w film jako środek artystycznego wyrazu. Wodzem ich jest Marlon Brando, jego zastępcą był James Dean. Należą tu Paul Newman, Tony Perkins, May Britt, Don Murray, Suzy Parker.

Ideowo do tej ostatniej grupy ciążą „myszki” — młodzi

aktorzy entuzjaści, którzy się jeszcze nie wybili.

Stare firmy nie poddają się jednak, po klęsce, jaką zadała im telewizja, szukają „modus vivendi”, próbują przystosować się do nowej sytuacji. Kręcą mnóstwo krótkich melodramatów dla telewizji, od czasu do czasu zdobywają się na wielkie „kobyły”. Oczywiście nie ma już mowy o 700 filmach rocznie, jak bywało w dawnych dobrych czasach.

Szczęśliwe przypadki zdarzają się jednak i teraz. Film „Pamiętnik Anny Franck” nakręcony został za pieniądze, które przyniosła nafta.

Nafta jest ostatnim „odkryciem” Hollywood. Wśród wieśk normandzkich, średnio-wiecznych zamków i pałaców starożytnego Rzymu — makiet naturalnej wielkości budowanych w okresie prosperity i nadal konserwowanych — wznoszą się obecnie wieże wiertnicze.

Można tu znaleźć wszystkie style, wszystkie dziwactwa, wszystko jest zresztą zabawą, dekoracją na niby. Na bulwarze zamiast pomnika stoi dziesięciometrowy odlew — replika nóżki jednej z gwiazd filmowych. W pobliżu wznosi się bar w stylu gotyckiego kościoła, lecz uwieczony ogromną kielbaską. Paryski Plac Zgody sąsiaduje z londyńskim Piccadilly Circus, pomnik Napoleona stoi obok Koloseum, ka-

tedra z Reims godzi się z musu ze starożytnymi świątyniami i palacami Weroni. Wież Eiffla jest kilka-

W omawianiu i ocenie jakiegokolwiek filmu zawsze staram się być przede wszystkim obiektywny, ale i powściągliwy w wyrażaniu pochwał, jeżeli jakiś film bardzo mi się podoba. Tym razem trochę sobie pofolguję. „Piknik” — szerokoekranowy film amerykański w Technicolorze — daje maksimum zadowolenia wszystkim miłośnikom sztuki filmowej.

Ci, którzy zwracają uwagę na wartości scenariusza filmowego, jako podstawowego tworzywa każdego filmu fabularnego — znajdą w „Pikniku” przykład bardzo dobrej adaptacji sztuki teatralnej Williama Inge'a pod tym samym tytułem. Autor scenariusza Daniel Taradash dał „Piknikowi” drugi oddech przenosząc dużą część akcji w plener, umiejętnie przekształcił komedię w dramat psychologiczny. Bohaterem „Pikniku” jest obieżyświat w cowboyskich butach, farmerkach, sportowej koszuli, skórzanej kurtce bez grosza w kieszeni, jeżdżący bynajmniej nie na mustangu, a na gape w wagonie towarowym. Jest dobrze zbudowany i silny. To imponuje kobietom.

Nuda codziennych, podobnych do siebie dni zostaje zakłócona przyjazdem mężczyzny. Kobiety, każda w inny sposób, nie pozostają obojętne na przybycie znikąd...

Wszyscy, których szczególnie pasjonuje specyfika tak zwanego warsztatu reżyserskiego, będą zgodni, że reżyser tego filmu Joshua Logan potrafił doskonale oddać atmosferę małego miasteczka w USA, specyfikę życia jego mieszkań-



Frank Sinatra i Gina Lollobrigida.

W latach dwudziestych jakiś przedsiębiorca rozpoczął budowę kurortu nad brzegiem Oceanu Spokojnego. Miała to być dokładna kopia Wenecji. Przyszła jednak kryzys i budowy zaniechano. Pozostały śmierzące kanały i trochę arkad na wybrzeżu.

Na cmentarzu, który reklamuje się dewizą: „Umrzyj, resztę pozostaw nam”, obok pomieszczeń dla balsamowania i makijażu zwłok (czytaliśmy o tym w powieści „Droga Nieobecni”), znajduje się kaplica z „Ukrzyżowaniem” Jana Styki — olbrzymim malowidłem o wymiarach 15 na 65 metrów.

Największą jednak ozdobą miasta jest kawiarnia Clintona — Clinton Cafeteria. Czegoś podobnego nie ma rzeczywiście na całym świecie.

W ogromnym parku nasładującym sceneryjny wysp potudniowych, a oświetlonym neonami rozmieszczone są gesto tablice z cytatai z Pisma Świętego i hasłami nawołującymi do poskromienia instynktów. Przybyła oprowadza się z pietyzmem po różnego rodzaju „zabytkach”, prowadzi do katakumb, gdzie musi wysłuchać kazania, i do „Ogrójea”, gdzie Chrystus — posąg naturalnej wielkości — modli się u stóp skały.

Kiedy zgłodniały usiadł wreszcie przy stoliku do posiłku, otrzymuje gratis pek broszur, jako strawę dla ducha.

Kawiarnia ta może najlepiej wyraża sens cywilizacji, którą nazywają „kalifornijską”.

ALEKSANDER NIESMIĄTEK

"PIKNIK"

FILM PRODUKCJI AMERYKAŃSKIEJ

A więc uwaga wielbiciele gwiazd i gwiazdorów. Po raz pierwszy mamy możliwość obejrzeć popularną Kim Novak, która poza urodą reprezentuje w tym filmie całkiem niezły poziom gry aktorskiej. Przemienia ją jednak swoja indywidualnością aktorka starszego pokolenia Rosalind Russel w roli starej panny, przeżywającej swój życiowy dramat. Wreszcie „on” który jest motorem wszystkich konfliktów, czyli William Holden — aktor po raz pierwszy również widziany na naszych ekranach, w typie fizycznym, bardzo podobny do słynnego Burt'a Lancastera.

„Piknik” jest świetnie sfilmowany przez jednego z najbardziej cenionych hollywoodzkich operatorów Jamesa Wong Howe'a. Cinemascopeowe zdjęcia barwne nadają wiele ekspresji fabule. W sumie, trzeba to wszystko jak najszybciej obejrzeć.